

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIII

WARSZAWA, DNIA 17 MAJA 1930 ROKU

NR. 20

TREŚĆ NUMERU: Sprawa kobieca a młode pokolenie kobiet — *Herminja Naglerowa*. Dzieci, które nie widzą i dzieci, które nie słyszą — *J. Putiatycz-Surynowa*. Poezje: „Miłość“, „Droga wiejska“ — *Jan Szczawiej*. Dom wiosny — *Lucja Knollówna*. Szkice o kobiecie marokańskiej — *Julja Lachowicz-Dupal*. Akwarele ś. p. Janiny Gessnerówny — *S. P. O.* Z sali odczytów — *S.P.O.* Kobieta w świecie i w domu. Jak się uczyły amerykanki w Polsce — *Marja Werten*. Zwyczaje towarzyskie — *Mary*. Jedwabnictwo — *M. Saryusz-Stokowska*. Herbata — *J. S. Rzodkiewka*, rabarbarum, szpinak i szparagi — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Rękawy — *Well*. Dodatek powieściowy: „Kraska w jarzębinie“ — *Zofja Reutt-Witkowska*. Tablica krojów.

SPRAWA KOBIECA, A MŁODE POKOLENIE KOBIET

„Sprawa kobieca“, jako jedno z najbardziej ważkich zagadnień społecznych, zapoczątkowana w drugiej połowie ubiegłego stulecia, a podawana potem z pokolenia w pokolenie — jest dziś, jeżeli tak można powiedzieć, *w trzeciej fazie*. Pierwszą fazą było, bowiem, teoretyczne przygotowanie umysłów, drugą — walka o prawa; my zaś, jako trzecie, czy czwarte pokolenie, miałyśmy to szczęście, że wypadki polityczne dopomogły nam do zrealizowania (przynajmniej w zasadzie) naszych postulatów.

Jednakże sprawa kobieca nie jest jeszcze całkowicie wygrana. Wciągnięte w jej obręb masy kobiece zmuszają do rozszerzenia i pogłębienia programu, niemniej też życie samo narzuca swoje praktyczne korektury. Nasz zasięg staje się prawie nieobjęty; po prostu, trudno już dziś zdefiniować kwestję kobiecą: zda się, że niema barjer, któreby określiły jej granice. Kobieta chce i może wnieść swoją pracę i swoje wartości umysłowe i moralne w każdą dziedzinę. Ale właśnie dlatego trzeba jeszcze ciągle staczać walki z konserwatyzmem urzędów, praw i uprawnień. Nasze pokolenie, choć niby to zwycięskie, nie może więc zaznać spokoju, mimo, że żyje w fazie realizacji. Jest tak, jak gdyby naszemu pokoleniu kobiet przypadł w udziale wysiłek największy, bo ustanawianie pozytywnych wyników.

Mimo to, niemal wszystko, co dziś w naszych osobliwych warunkach stwarzamy i czynimy, posiada wybitne znamiona — eksperymentu. Eksperymentujemy same, niezawsze jeszcze pewne siebie, choć świadome swoich dążeń, i jak na eksperyment patrzą na naszą pracę — mężczyźni. Jeszcze nie wierzą, że to

na serjo, jeszcze się pocieszają tem, że się zmęczymy, cofniemy, nie podolamy, zbankrutujemy. Mówi się: „Sprawa kobieca jest dziś — modna!“ — i w ten sposób, nito uprzejmy, nito lekceważący, nadaje się tej sprawie kobiecej jakieś przemijające, więc nie nazbyt groźne znaczenie.

Tymczasem jednak kobiety starają się korzystać z koniunktury (taka zresztą jest „podstępna“ gra każdej sprawy społecznej) i z mody stwarzają — precedens, a z precedensu ustala się prawo. Nasz rozpęd twórczy nie jest bowiem sezonowym kaprysem, ale wielkim ruchem społecznym, którego ideologicznym podłożem jest — sprawa ludzkości. Napozór walczymy tylko o własną pozycję materialną, o swoje własne prawo i przeciw codziennej krzywdzie, ale poza tem — co najłatwiej rzuca się w oczy, bo jest związane z dniem bieżącym — kobiety zdołały już dziś udźwignąć olbrzymi kompleks zagadnień humanitarnych i ogólnoludzkich. Rozporządzają przecież czynnikiem, w sprawach tego świata zaniebanym i uznawanym za niepotrzebny: — sercem współczującym. To serce właśnie, sprzymierzone z rozumem, z fachowem i naukowem przygotowaniem dzisiejszej kobiety, będzie reformatorem i lekarzem, organizatorem i bojownikiem. Epoka, która nadchodzi, będzie rządzona genjuszem wynalazców i genjuszem kobiety!

Ale ten nasz optymizm, poniekąd uzasadniony dzisiejszą postawą kobiety, byłby jedynie utopją, gdyby nasze dążenia nie rzutowały w przyszłość, nie miały ciągłości i trwałości. Gdy przeminiemy — czy nowe pokolenie kobiet podejmie naszą pracę? Czy ją wzmoże, popchnie naprzód, czy wykona to, co dzisiejsze

sze pokolenie zainicjowało? Oto pytania, które nie mogą być rzucone na wiatr, oto troska, od której nie powinniśmy stronić, jeżeli nasz wysiłek nie ma być tylko — przemijającą modą.

W trosce tej mieści się bowiem zarówno sprawa przyszłości naszych dzisiejszych założeń, jak i nasz dzisiejszy stosunek do młodzieży żeńskiej. Jak wychowujemy dorastające pokolenie kobiet? Czy włączamy je do naszych prac, czy przekazujemy im naszą ideologję? Lękam się, że nie czynimy tego, że właśnie w tem nowoczesnem wychowywaniu córek zaniedbałyśmy tę ważną sprawę. A one, te młode, które nie muszą walczyć o prawo do nauki, ani o swoją zwyczajną, codzienną wolność młodości, szczęśliwsze od nas i naszych matek — zdają się niczego nie pragnąć. W ich programie (jeżeli taki mają) niema sprawy kobiecej. Rozumiemy, że nie lubią patosu zagadnień, bo tak dziś jest, że i my usiłujemy stłumić w sobie ostentacyjny wyraz uczuć, i nam entuzjazm, egzaltacja wydają się zbyt hałaśliwe, a mało skuteczne. Jest to jednak tylko sprawa odmiennej formy, podczas gdy treść zagadnienia zachowuje swoją wewnętrzną energję.

Te, które po nas przyjdą, albo raczej już lada rok przy nas stanąć powinny, są może jeszcze bardziej od nas opanowane, bardziej pozytywistyczne. Tak je widzimy w ich młodym świecie. Ale po za tą zewnętrzną formą ich życia, nic nie wiemy o ich ideologii, ich wewnętrznym stosunku do spraw ogólnych. Zbyt wytrwale bronią się młodością (która dziś ma wyjątkowe prawa), zbyt zuchwale przeciwstawiają się powadze naszych prac, żeby można określić ich istotne wartości. I dlatego wydaje mi się, że prawie nic nie wiemy o tem, co to dorastające pokolenie kobiet wniesie nowego i dodatniego do sprawy kobiecej, tak szeroko przez nas zakreślonej.

Zapewne — młodzi są zagadką, niecierpliwą dorosłych. Zapewne — młodzi są inni od nas, są niejako obcy. Nie możemy ich pojąć ani wspomnieniem własnej młodości, ani nie możemy ich całkowicie zjednać sobie wyrozumiałą pobłażliwością. Wreszcie — czyż nie wiemy o tem, że młodzi walczą ze starszymi, a starsi z trudem tylko hamują się w używaniu i nadżywaniu swoich praw opiekuńczych i mentorskich?

Odwieczność tego zagadnienia łagodzi wprawdzie jego ostrość, ale nie zdołała jeszcze usunąć dramatyczności, wynikającej z troski o „trwanie“. Możemy sobie po wielokroć tłumaczyć, że taki jest naturalny bieg rzeczy, ale dla dobra sprawy, która powinna nas przetrwać, musimy wywierać wpływ na młodych, musimy im przekazać swoją pracę. Jest to obowiązek

nie tylko moralny, ale poprostu nakaz przyrody. Niejedna matka przechwala się: „Jestem przyjaciółką moich córek!“. To znaczy, że nie uznaje dystansu między sobą a córkami, że córki mówią jej o tem — o czem chcą jej mówić. Mówią o tem, czego ona nie miała odwagi mówić swojej matce. Jest w tem odrobina postępu jedynie obyczajowego, bo współzycie matek z córkami nie sięga głębiej. Jest to znowu tylko zmiana formy. Nasze matki nie były może naszymi powiernicami, a my buntowałyśmy się przeciw rygorowi, zatajałyśmy się. Ale, mimo wszystko, pokolenie starszych wciągało nas do pracy, przygotowywało nas na swoich spadkobierców. Wychowywanie było — nadawaniem kierunku. Poszłyśmy dalej, zdobyłyśmy więcej, ale właśnie naturalnym biegiem rzeczy jest pomnażanie i powiększanie — zdobyczy.

Więc choć dziś zanika dystans między matką a córką, choć „przyjaźnią się“ z sobą, niema jednak porozumienia między nimi w sprawach, które powinny mieć ciągłość — zarówno jako dalsze trwanie walki, jak też jako następna faza realizacji. Obojętność dorastającego pokolenia kobiet dla tych właśnie kobiecych zagadnień wydaje się nam groźna. Sprawa kobieca, nie idąc naprzód, zacznie się bowiem cofać wstecz ku dawnym krzywdom, a to, co dziś obwołujemy, jako zwycięstwo, w istocie nie będzie niczem innym, tylko eksperymentem, albo, co gorsza — modą.

Trzeba się więc zastanowić nad tem głęboko i poważnie, żeby sprawa wychowywania młodzieży żeńskiej nie ograniczała się jedynie do objawów zewnętrznych. Ani bowiem szkoła, tak bardzo jeszcze niedoskonała, ani uniwersytet, nie ukształtują tych przyszłych kobiet, które będą miały niejedno jeszcze do wywalczenia. Będą miały niejedno jeszcze do zrobienia, zanim się staną w pracy „równe z równymi“. Przeraza nas w młodem pokoleniu kobiet bierność, brak ambicji, martwi obniżenie poziomu umysłowego i szablonowość. Oczywiście, są nieliczne wyjątki, ale ogół żeńskiej młodzieży tak właśnie korzysta z praw, zdobytych przez poprzednie pokolenia. Niema już tego prześcigania się, tego wysilania swoich zdolności i wartości. Młode pokolenie kobiet gnuśniej umysłowo. Niewątpliwie — rekordy sportowe mają swoje znaczenie, ale chyba dobrze wiemy, że ani rzut dyskiem, ani sukces pływacki, ani nawet bieg przez płotki nie przyczyni się do przebudowy form świata. Trzeba nam rekordów pracy, nauki, zdolności organizacyjnych, trzeba rekordów geniuszu kobiecego, aby było inaczej i lepiej. Coś w tym kierunku należy zrobić, bo inaczej nasze wysiłki pójdą na marne, a *czmar-ta faza sprawy kobiecej będzie — degrengoladą.*

Herminja Nagleroma.





Szwalnia w oddziale dla głuchoniemych.

J. PUTIATYCZ-SURYNOWA.

DZIECI, KTÓRE NIE WIDZĄ I DZIECI, KTÓRE NIE SŁYSZĄ

(Wrażenia z „Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych”).

Przechodzę przez słoneczną kaplicę, gdzie na chórze śpiewają podczas nabożeństwa ociemniaли, a gdzie na dole stoją zastępy dzieci głuchoniemych, wpatrzone w uśmiechniętą słodko do nich statwę Matki Boskiej.

Przechodzę przez olbrzymią salę rekreacyjną, gdzie wre szumna zabawa w piłkę, poprzez rozwieszoną siatkę tenisową. Gdzie kalectwo? — pytam sama siebie. Niema go, jest tylko rozswawolona, zdrowa i szczęśliwa diatwa.

A te szafeczki tam z boku? To półki, zawierające skarby każdego poszczególnie dziecka. Zobaczymy, co tam jest. Obrazki i jabłka, malowanki i guziki, gałazki i kamyki — skarby! Jakież skarby uczucia i zrozumienia dziecka posiadał ten, kto kazał zrobić te szafki tam, w rogu pokoju...

Wchodzimy do pierwszego oddziału dla chłopców. Wita mnie uśmiechnięta twarz nauczycielki. Kilku chłopców siedzi za stołem, owalnie otaczającym salę — tablica. Chłopcy siedmioletni piszą takie zwykłe zdania z elementarza:

„Ja mam tatę; wata; moja mama” — i t. d., i t. d.

Dyrektor wywołuje ucznia. Zbliży się do nas wesóły chłopczyk — podchodzi do tablicy. Patrzą

bystro oczy na usta dyrektora. Uśmiecha się serdecznie rumiana twarzyczka. Pytanie. Wolna, skandowana odpowiedź. Głos trochę drewniany, trochę wysiłku — ale zdanie wypowiedziane jest wyraźnie i przeczytane za chwilę z tablicy bez błędu...

Cud. Sukces niebywały zmuśnej, ciężkiej pracy. Ze wzruszeniem słucham i patrzę. Ileż to wysokiej inteligencji, talentu pedagogicznego oraz cierpliwości potrzeba, aby nauczyć te dzieci prawidłowego oddychania, wydobywania dźwięków ze strun głosowych, wreszcie wydawania głosu i panowania nad nim, aby układać sylaby i wyrazy!

Na ścianie przyćpione fotografie: „mamy”, „brata” i „taty”, pocztówki „z pieskiem” i „kotem”, „motyl” narysowany i wycięty, kawałek „waty”, przypiętej szpileczką, rysunek, wyobrażający „taniec” dzieci... Oto miliony drobnych starań, które tym dzieciom ułatwiają zrozumienie oderwanych pojęć i zjawisk, stosunków rodzinnych i czynności...

Lekcja religii w VII oddziale dla dziewcząt.

Znów klasa rozsiadła w półkole. Granatowe mundurki, czarne fartuszki, marynarskie kołnierze z białymi tasiemkami, długie warkocze i pogodnie uśmiechnięte twarzyczki. Zdrowe, normalne piętnastoletnie dziewczęta? Nie... to głuchonieme. Nie do



Dzieci ociemniałe.

uwierzenia. Słyszę przypowieść o pszenicy i koku, o Komunii św. i jeszcze o darach Ducha Świętego.

Dziewczeta kochają swego prefekta — wykładu słuchają z zainteresowaniem. Jeżeli wyczerpane są wysiłkiem wzroku — przy słuchaniu (patrzeniu na usta) — otrzymują objaśnienia gestem, t. zw. „migiem” — internacjonalnym ruchem, tłumaczącym dany wyraz, lub pojęcie. Dziewczeta kochają swego prefekta, bo czują, jak są kochane. Uśmiechają się, bo pogodę on im wnosi do serca.

Jakież to przeciwieństwo z ociemniałymi! W ich wiecznej nocy rodzą się: pesymizm i smutek. Trafiam na zebranie nauczycielskie. Pytam. Panie zgodnie mówią mi o tym nieszczęśliwym świątku, którego jedyną radością jest słowo, muzyka, śpiew, no i nauka, która dzięki specjalnemu alfabetowi ułatwia kontakt ze światem zewnętrznym. Padają zdania serdeczne, poglądy, pełne wiary w pracę owocną; otaczają mnie kobiece, żywo bijące serca, mówiące bez słów o poświęceniu i całkowitem oddaniu.

Na stoliku znajduję... dwa ostatnie numery... „Bluszczu”. Obiecuję paniom, iż napiszę o „ich dzieciach”.

A teraz, na zakończenie chcę powiedzieć słów kilka o sprawie pałacej, o sprawie, która właściwie była głównym celem mojego artykułu.

Oto... dzieci głuchonieme, kończące Instytut, dostają fach w rękę: drukarstwo, introligatorstwo, stolarstwo, krawiectwo, szewstwo. Dziewczeta: szycie, kilimkarstwo i lalkarstwo. Niewidomi — szczotkarstwo i koszykarstwo, oraz muzykę.

Zdawałoby się, że idą w świat przygotowani do

życia. Tymczasem kalectwo utrudnia im pracę i możliwość znalezienia jej. Są wyzyskiwani i opuszczeni. Jedynie muzycy zrzeszyli się w „Towarzystwie Ociemniałych Muzyków” (przy ulicy Piwnej) i znajdują zarobek, dzięki pośrednictwu pracy. Reszta wegetuje... umiera, ginie.

I pomyśleć, że tyloletni wysiłek, uwieńczony, zdawałoby się, najpomyślniejszym rezultatem nauki i fachu, niknie wobec ogromu walki o byt i konkurencji fachowca „o pięciu zmysłach”.

Pałacą sprawą jest więc „Dom pracy” — dom,



Klasa głuchoniemych.

który zajmowałby się zbytem towaru i opiekowałby się moralnie tą rzeszą nieszczęśliwych. Początek już zrobiony. Kilka tysięcy zebrane — brak jest lokalu. Pomieszczenie go w Instytucie jest niemożliwe. Brak miejsca, przytem współzycie dorosłych z młodzieżą wcale nie jest pożądanym czynnikiem. Pomyślmy nad

tem. Zwracam się do tych, które mają nietylko serce czule, ale i dar inicjatywy, i rzutkość w poczynaniach, i zmysł praktyczny... Bo przecież taki „Dom pracy”, poza jego znaczeniem społecznym, może okazać się instytucją dochodową, o realnych podstawach bytu.

Więc — pomyślmy...



JAN SZCZAWIEJ

MIŁOŚĆ

*To wieczór, który czarnym liściem nakrył ziemię
I srebrnym słowom w gardle lkać nakazał.
Nad czyjąś chatą jesion pochylony drzemie,
Niby na starym, malowanym mgłą obrazie!*

*Przez drogę czyjeś okno żółtym jaskrem kwitnie.
Tu przyjsć, i stanąć tu, i stać, i stać coś każe.
A kiedyś było tak spokojnie, tak błękitnie,
Jak chłopcom, którzy służą u ołtarza.*

*To myśl, co nie potrafi myśleć już o niczem,
Tylko, że ktoś nie kocha, wciąż pamięta, wciąż pamięta.
To ta, która nie żyje, Beatrycze!
I Julja Capuletti, i Cecylja święta!*

*Coś każe przyjsć tu, każe lkać coś słowom,
Z radości, jak ze snu, coś każe się obudzić —
O, gdyby w piersi można było wszystko tak pochować,
Jak to się chowa w trumnie ludzi.*

*To wieczór, który czarnym liściem nakrył ziemię
I obłokami księżyc, niby szczęście, nam przesłonił,
To usta, któreby zgodziły się oniemieć,
Byle całować czyjeś obojętne, zimne dłonie.*

DROGA WIEJSKA

*Idziesz przez wieś, ucieklszy od światła.
Radość w duszy szeroka i droga szeroka.
Patrz: na wzgórkach zamyśliła się chata
O jasności księżycy w obłokach.*

*Tutaj każde drzewo — wierny przyjaciel
O twoim smutku szepce najciszej.
Tu topola, na przykład, zna cię
I twą ciszę napewno usłyszy.*

*I sam jesteś, choć tyle tu życia.
Wierzby, nad drogą życiem aż szumią.
Czekaj! zmierzchy wyjdą z ukrycia
I twój smutek zrozumia.*

*Nie miesz nic. Tylko, że dusza ucicha
I że wierzby i róże wokół —
Pozdrowiona bądź, drogo cicha,
Co prowadzisz zmęczonych w spokój.*

LUCJA KNOLLÓWNA

DOM WIOSNY

Dzieci nauczyciela nazywały starszą panią „dziwadłem“. Nie były zresztą odosobnione w tem mniemaniu. Przez wisko to powtarzano nieraz, mówiąc o jej oryginalnym stosunku do życia i nawet małe jej wnuczka przechrzczono z czasem pieszczotliwie na „dziwadłko“. Ale nikt nigdy nie śmiałyby powtórzyć tych słów przed Filipem.

Filip od dziecka pracował w ogrodzie przy niskim, dużym, przysadzistym domu, gdzie starsza pani przez długie lata swego pogodnego życia hodowała wiosnę.

Tak, hodowała wiosnę — na to musieli zgodzić się wszyscy. Wprawdzie nad starym sadem i poczerńniętym dachem domu przechodziły, oczywiście, jak i nad innymi sadybami miasteczka, kolejno wszystkie pory roku, ale mimo to wiosna zdawała się tu być zawsze obecna. Przez całe lato trwała wciąż dalej w świeżości liści, jesienią wykwiłała niby jeszcze rumieńcami dojrziałych owoców, a i zimą była tu zawsze jednak najważniejszą osobą. Pod śniegiem, wśród mrozów, ziemia i drzewa poszeptywały z jowialnym uśmiechem: „Otulamy się, by przetrzymać do wiosny, przygotowujemy się do wiosny...“, a i ludzie dokoła uśmiechali się zawsze, tak, że w rezultacie trudno było odgadnąć, która radość powstawała pierwsza dokoła tego Domu Wiosny.

Wszyscy wiedzieli jednak, że głównym źródłem pogody była sama starsza pani. Uważano to zresztą za rzecz zupełnie naturalną. Legenda miejscowa pamiętała jeszcze dokładnie, jakim dobrodusznym, zawsze wesołym człowiekiem był ojciec jej, stary doktor, który właśnie wybudował niedaleko już od skraju pół ten dom, jak on, dobroduszny i wesoły. Wczesna śmierć żony, ani wszystkie stereotypowe nieszczęścia, które z natury rzeczy przynoszą każdemu postępujące lata, nie zdołały nigdy naruszyć jego dobrego humoru. Była to zapewne lekkomyślność, ale lekkomyślność wygodna, a starsza córka jego zdawała się to usposobienie dziedziczyć w zupełności. Na cóżby się zresztą skarżyć miała? Nieraz z zazdrością patrzyły na nią rozmaite zdradzane, czy eksploatowane żony, zawiedzione matki, samotne i ubogie stare panie. Dostatek panował zawsze w Domu Wiosny — widocznie oschłe serce, które było powodem, że „dziwadło“ nie wyszło z małżeństwa, dało jej także zrównoważoną rezygnację przy kolejnej śmierci siostry, szwagra, córki ich i zięcia, a teraz oto, niezasłużona a szczęśliwa, zachowała dwoje wnucząt na osłodę i podporę starości.

Nigdy nie pamiętano prawdziwej żałoby w Domu Wiosny, nigdy łez, apatii, długo zamkniętych okiennic. Kiedy babunia szła z dziećmi na cmentarz —

a działo się to zwykle regularnie co sobota — przez całą drogę opowiadała im o kwietnych łąkach, po których chodzą ich rodzice, w blasku wielkiej radości, jak światło tryskającej z szat Jezusa i Najświętszej Panny. Za babunią najczęściej, jak w triumfalnym pochodzie, postępował Filip z taczką, pełną flanców, a Zygmunt i Jadwinia pomagali mu potem pulchnymi piąstkami wtykać rośliny w ziemię na grobie. Byli przytem uśmiechnięci i zadowoleni, a taki beczere-monjalny stosunek do problemu śmierci gorszył nieraz gospodynię proboszcza, która, reperując bieliznę na ganeczku plebanji, wzdychała nad swoim zmarowanym życiem, tudzież nad nieprawością ludzką.

Filip nie podzielał poglądu gospodyni. Od chwili, kiedy, jako mały chłopak, nosił doniczki za dawnym ogrodnikiem doktora, a ukradkiem ścinał najpiękniejsze róże na bukiet do pokoju panienki, wiedział z całą pewnością, że, co ona powie, czy zrobi, to właśnie jest słuszne i dobre. Z roku na rok sadił klomby i strzygł szpalery, wsiąkł w krew domu, stał się jego częścią nierozdzielną i nigdy ani przez chwilę nie przyszło mu na myśl zapragnąć dla siebie innego życia. Panienka była bóstwem, które od początku uczyniło zupełnie niepodobnem zwrócenie uwagi na jakąkolwiek kobietę na świecie. To też teraz pilnował surowo każdej służącej, każdej zresztą istoty, wchodzącej w orbitę jego wpływów, by najlżejszem nawet słowem nie uchybiła szacunkowi, należnemu starszej pani.

Bo Filip jeden wiedział, jak wszystko było od początku. Przypadek, czy też nieświadoma siła przyciągająca jego oddanego serca, sprawiły, że przez wyłoty alejek, drzwi otwarte, szyby oranżerii, był świadkiem całej prostej historii starszej pani.

Zaczęło się to w dniu, kiedy doktor, wróciwszy z pogrzebu żony, wziął na kolana trzynastoletnią wówczas Marynię. Małutka Zosia, już zdając się nie pamiętać o niczem, bawiła się kasztanami na schodkach ganku. Jesienne, smutne słońce odbijało się w jej nastroszonych włosach, nad rozrzucającym obrazem dziecinnej beztroski. Biedna mała Zosia! Jakże często i potem, w krótkim i beztroskim jej życiu, zdarzało się jej łatwo o różnych rzeczach zapominać!

Ojciec ucałował czerwone jeszcze od płaczu oczy Maryni i opowiedział jej, jak to teraz pilnie hodować powinni oboje radość, by nie dopuścić nigdy żałości do tego słabego, osieroconego dziecka. Powiedział to w słowach krótkich raz pierwszy i jedyny, bo wiedział, jak bardzo dobrze odrazu został zrozumiany. Spokojnie też patrzył w przyszłość swych dzieci, gdy przyszedł wreszcie rok, który zmiotł go z powierzchni ich życia,

Tymczasem Zosia rosła, coraz śliczniejsza i coraz bardziej kochana. Zawsze była wątła i zawsze potrzebowała opieki. To też kiedy przyszła chwila, że w sercu Maryni najważniejsze miejsce obok siostry zajął pan Jan, wydało się jej rzeczą zupełnie naturalną, że ci dwoje właśnie tworzą jedność. Obojgu należało się to, co było najlepszego na świecie, to też jasnym było, że są dla siebie wzajem przeznaczeni. Tak zresztą zdawało się im samym także.

Było to jakoś w marcu. Powoli coś się zmieniało w ogrodzie. Nagie jeszcze drzewa inną już jednak miały sylwetkę na tle jaśniejszego nieba, na każdym w inny rysunek nabrzękały lepkie od soków pąki. Wiatr inaczej pachniał, do coraz dalszych okien docierało rankiem i wieczorem słońce. Nieznany, bo dawno wygnany smutek niewytłumaczoną drogą, jak niespodziewany wiatr wiosenny, wpadać zaczął raz po raz do serca Maryni. Niewiadomo, dlaczego chodziła sama wypatrywać kielkujące irysy na klombach, kiedy już zmrok wieczorny niewiele co dojrzeć pozwalał. Niewiadomo, dlaczego nagle samotność zaczęła z jakimś przykrym szelestem chodzić za nią po liściach zeszłorocznych, wśród ligustrowych szpalerów.

A w domu panował ciągły gwar i zabawa. W tym roku dużo młodzieży było w okolicy. Poprzyjeżdżali jacyś bracia, siostrzeńcy, kuzyni — solidne latorośle grodu i świetne ptaki przelotne z daleka. Zosia śmiała się, bawiła, olśniewała — a narzeczony cieszył się jej młodzieńczą urodą. Cieszyła się nią i Marynia, i może nigdy nie byłaby sobie zdała sprawy ze swojej dziwnej tęsknoty, gdyby wśród przybyszów tego roku nie było pana Alfreda. Ślepy traf przygnał tego człowieka, tak często zmieniającego miejsce, właśnie na czas krótki do miasteczka, gdzie ze wszystkich miejsc świata obecność jego najmniej w tej chwili była potrzebna.

Pan Alfred miał wdzięk, szyk, talenty i urodę. Nikt nie mógłby nawet spodziewać się od niego dobroci, czy stateczności, nikt nigdy nigdzie nie brał go na serjo. Tak było dotąd i tak było dobrze. Ale przyszła chwila, w jeden z owych marcowych, niespokojnych zmierzchów, że jego właśnie zobaczyła Marynia w głębi oranżerii, tulącego namiętnie, jak w powieści, wiotki, jasny kształt.

Kto wie, czy nie po raz pierwszy załamała się w tej chwili w pogodnych, radosnych zawsze oczach wypracowana równowaga świata. Problemata szczęścia własnego i cudzego, odpowiedzialności, nadziei, zatrzepotał się nagle w ciemności, wypłoszony z bezpiecznego, stałego legowiska. Któż to kogo był teraz godny, komu się jaka przyszłość gotowała, czyje szczęście szło na całopalenie? A po drugiej stronie oranżerii drugi cień, przyprowadzony tu przez fatalność, cień najdroższy na świecie, zachwiał się w tej samej chwili pod ciosem straszliwego zwątpienia.

W kącie ogrodu stała mała kapliczka, a w niej

przywieziony przez doktora z podróży do Włoch posążek Matki Boskiej z martwym ciałem Syna na kolanach. Każdego mogło to dziwić, że ten wesoły człowiek taki właśnie symbol wybrał dla swej pobożności. Kazał go zresztą obsadzić kwitnącemi pnączami.

Przed tą kapliczką po raz pierwszy zobaczył Filip panienkę w szlochu i łzach. Pod osłoną odżywającej wiosną altany długie chwile pytała boleściwej Matki Najświętszej Radości, jak zwalczać zło i skąd się ono i poco bierze? Czy ona, do ostatka serdecznego swego skarbu, winna ratować istnienie, od dzieciństwa jej powierzone, ratować, choćby to było kosztem szczęścia tego drugiego ukochania swej duszy, tak bardzo już poszarpanej?

Minęły święta, uspokoiło się w miasteczku. Maj poroztwierał wszystkie pąki, które trzeba było poroztwierać, osuszył błota, nadał prawidłowy rytm wzrostowi zieloności, słowikom — ustabilizował wiosnę. Pan Alfred zniknął na zawsze z horyzontu, jak obłok przypadkowy.

Po ślicznej twarzy Zosi, po beztroskiej jej duszyczce, też, jak obłok przelotny, prześlizgnął się cień smutku. Znowu była uśmiechnięta, miła, nad wszystko urocza, wątła, opieki potrzebująca. Nie dostrzegła nawet cieni dokoła zakochanych oczu pana Jana. Ona — nie.

Jan pobladł, scichł, miał chwilami trwogę w spojrzeniu. W słotny majowy dzień, w rocznicę śmierci doktora, wracali z cmentarza we dwoje z Marynią, bo Zosi bali się na wilgoć narażać. Wtedy wyznał jej wreszcie, jakby komuś starszemu, mądrymu, okrutny niepokój śmiertelnie kochającego serca. Sam przed sobą nie śmiał do końca odgadnąć, czyją to jasną sukienkę widział w obramieniu czarnych ramion w ów zdradny zmierzch marcowy.

Zatrzymali się pod parkanem, na deszczu, w pluskającej ciszy, zaaferowanej a spokojnej. On nie chciał przecie szczęścia psuć nikomu, ale go trawiła moc silniejsza, niż wszystko.

Po twarzy Maryni spływały strugi deszczu, głos jej dławiło coś — wstyd oczywiście. Prosiła go, by jej, Maryni, nie miał za złe chwilowego zapomnienia, by się starał nie pamiętać o tem krótkim zdarzeniu, bo przysięga, że nie było nic więcej poza niem. Z jakim akcentem prawdy mówiła mu o niespokojnych podmuchach przedwiośnia! Jakże żałowała, że przez tak długi czas nie przyszło mu na myśl, że przecie obie z Zosią ubierają się najczęściej jednakowo, że wzrost, kształty, rysy twarzy zacierają się łatwo w szarości zmierzchu, zwłaszcza dla wzruszonego spojrzenia. I jak jemu zapłonęły oczy, nie widzące już nic przed sobą poza zjawą upragnionego szczęścia!

Rok po roku, przy boku ukochanych ludzi, na klombach ogrodu, na mogiłach cmentarza starsza pani

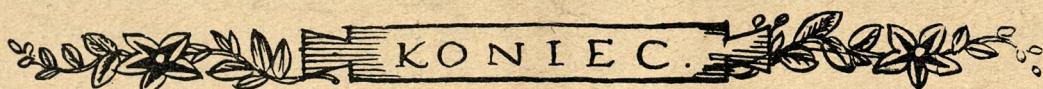
hodowała radość, a teraz uczyła swego rzemiosła ostatnie dwie małe, powierzone jej, istotki.

— Babuniu — pytały dzieci, pomagając Filipowi w słońcu kwietniowym przewiązywać pnącze przy kapliczce — dlaczego tu Pan Jezus taki biedny, czemu Matka Boska płacze?

Babunia tłumaczyła dwom niedojrzałym głowinom, do jak wielkiego triumfu prowadzą ta krew i te łzy. Bóg musiał cierpieniem odkupić żywot i oto odtąd każdy ból, każda ofiara w radosnym strumieniu, popłynąć mogą na kupienie wielkiego, promiennego szczęścia wszystkich. Dlatego ludzie kwiatami

stroją grób umęczonego Jezusa. Każda boleść, zarówno jak każdy uśmiech świata, rozkwitnąć winny około tego grobu, równie dobre, bo równie potrzebne do wielkiej, pogodnej równowagi wszechrzeczy.

Słuchały dzieci chciwie, choć niebardzo rozumiejąc, jak się chłonie pierwszy pacierz — wcześniej ustami, niż głową, wcześniej oddechem niemal, aż się go, w serce już wrośnięty, dojrzałym potem rozumem pojmie. Słuchał i Filip, jak zawsze z nabożeństwem, ani wiedząc, że w tym ogrodzie słyszy starszą panią po raz ostatni, że Dom Wiosny opromieniony zostanie wkrótce najpogodniejszym z jej uśmiechów.



JULJA LACHOWICZ-DUVAL.

SZKICE O KOBIECIE MAROKAŃSKIEJ

ARABKA.

(z oryginalnemi rysunkami Marietty Richard)

Na suchym piasku, pod palącym słońcem, otulone w białe płachty, kobiety przypatrywały się zsiadającej z konia młodej amazonce. Przyglądały się badawczo, ciekawie, jej wysokim butom, spodniom i męskiemu kapeluszu. Na pytania, uświęcone zwyczajem, odpowiadały machinalnie, obojętnie, jak zwykle.

- Jak się ma pan domu?
- Dobrze.
- Jak się ma Lalla *) Zohra?
- Dobrze.
- Jak się ma deszcz?
- Jak się ma ospa szczepiona? — itd...
- Dobrze.

Widać jednak było, że ospała ich myśl kręci się około niezwyklej postaci. Może przychodzi im na myśl przepowiednia, wedle której przy końcu świata kobiety nieplodne, zbuntowane przeciw mężczyznom, ubrane będą, jak oni.

Jedna z nich zdobyła się wreszcie na pytanie:

— Czy nie żal ci tego czasu, kiedy byłaś kobietą?

Pytanie to przychodzi mi na myśl dzisiaj, kiedy chcę nakreślić parę słów o kobiecie marokańskiej.

Nam, patrzącym zdaleka, życie jej, zamknięte w ciasnych ramach wydaje się rozpaczliwie smutne, monotonne. Nasz sposób życia jednak uważany jest przez nią za nienormalny i karygodny. Kobiety z dumą odzywają się o odosobnieniu, w którym żyją. Nie-

pokazywanie się na ulicy, otaczanie się tajemnicą, jest oznaką szlachetnego pochodzenia. Berberki różnią się tem od arabek, że twarzy nie zakrywają, lecz, gdy która z nich osiadzie w mieście, czempredziej kupuje „haik“ *), na jaki ją stać, i szczerze postać swoją weń otula: ma złudzenie, że w ten sposób wstępuje na wyższy szczebel społeczny.

Żaden mężczyzna, prócz męża, braci, synów lub ojca, nie ogląda tych wybranek losu. Gdy rodzinna uroczystość lub wycieczka, raz w rok przed wielkim postem, wywoła je z domu do posiadłości podmiejskiej, wyjeżdżają nocą. Patrycjuszki nie opuszczają nigdy domowego ogniska, mając łaźnie parowe w domu, nie kosztują nawet tej znikomej uciechy, którą jest wspólny „hamam“ **) o oznaczonej godzinie.

Zdarza się, że urząd zmusza ich męża do przebywania od czasu do czasu w innej miejscowości; nie towarzyszą mu, naturalnie, a on zakłada dla swojej wygody nową rodzinę i nowy dom. W obecnych warunkach jest to zbytek, na który tylko bogaci ludzie mogą sobie pozwolić, gdyż dom zamożny składa się z licznych niewolnic i niewolników, z wielkiej ilości dzieci z różnych małżeństw. Trudno czasem połapać się w tej paranteli. Miałam przyjaciela araba, który

*) Pani.

*) długa, szeroka, biała płachta wełniana, którą się okrywają, wychodząc z domu.

*) Kąpiel parowa.

był ojcem 35 dzieci. Powiedział mi kiedyś z dumą: „My nie znamy, tak jak wy, dzieci nieprawych“.

Szczęściem, dzieci arabskie są dziwnie milczące i spokojne, to także należy do dobrego tonu. Przed ojcem nie śmieją się odezwać, a są jeszcze rodziny, w których syn nie siada z nim do stołu, gdy są goście, ale, stojąc przy drzwiach, pilnuje obsługujących niewolników. Nie nakrywa też przed nim głowy, gdy jest nieżonaty.

Gdy syn, duma ojcowska, jest niczem wobec niego, cóż mówić o córce i żonie! Urodziny syna są pożądane. Gdy żona nie ma męskiego potomka, a niewolnica ma syna, role kobiet zmieniają się, żona schodzi na drugi plan. Największym upokorzeniem jest dla kobiety powiedzenie: „Ona nie ma synów“. Gdy chłopiec przyjdzie na świat, zabijają na cześć jego barana i wydaje się radosną zabawę dla rodziny i przyjaciół. Urodzenie córki uważa się za konieczność nieuniknioną, ale z małymi wyjątkami przyjęte jest obojętnie, jeżeli nie z niezadowoleniem.

Kobieta, obca wszystkiemu, co wychodzi poza obręb codziennego życia, nawet po śmierci zamknięta jest w trumnie, podczas gdy mężczyzn w całości składają do grobu. W mogile dopiero, gdy rysy jej zastygły i oczy zagasły, twarz jej odsłaniają. Cereemonji tej dopełnia mąż lub brat. W braku najbliższej rodziny męskiej, obcy człowiek powinien jej oddać tę przysługę *). Wówczas, przed dotknięciem „lithamu“ *), nachyliwszy się nad nią, mówi: „Nie jestem ani twoim mężem, ani bratem twoim, tę ostatnią usługę spełniam dla miłości Boga. Przebac mi, proszę!“.

Bywają wypadki, że jeszcze za życia kobieta ma prawo lica odsłonić: „Kiedy nieprzyjaciół zbliża się do miasta, niewiasta może zejść na ulicę i podnieść zasłonę“ — mówi Prorok.

Ta interwencja kobiet kończy się nieopisanym okrucieństwem. W czasie rzezi europejczyków w Fezie w 1912 r., jędze, a nie kobiety męczyły w nieludzki sposób nieszczęśliwe ofiary, które bracia ich mordowali, przeraźliwym „ju.... ju....“ *) zachęcając ich do zbrodni.

Nie więc dziwnego, że, odsunięta od wszelkiego życia zewnętrznego, nawet od życia religijnego, kobieta, która, jak wiadomo, nie ma duszy, zamknięta w czterech niezwykle wysokich murach bez okien, ubrała najdrobniejszą nawet czynność w czary, guśla i wysiliła swoją myśl i pożądania w jedynym dozwolonym kierunku: ku zdobyciu i zachowaniu miłości mężczyzny. Zasłużenie na jego względy, przypodobanie mu się, wymaga całej sieci zabiegów, począwszy od stroju. A ten jest wyszukany i każdy szczegół ma swoje znaczenie magiczne.

Patrząc na odbicie swoje w lustrze, arabka musi wyrzec: „Witam cię, o twarzy ulotna i nieistniejąca“. Nad znaczeniem tych słów nie zastanawia się, a formułka stała się zaklęciem, bo któraż z nich wie,

*) Kobiety nie idą za pogrzebem.

*) „Litham“ — zasłona twarzy.

*) Okrzyk kobiet drżący, przeciągły, którym wyrażają zachwyt, radość i entuzjazm.



Niewolnice zmiatające „patio“ miotłkami z karłowatej palmy.

że mądrość jej w nieśmiertelnych słowach wyraził już Salomon: „Marność nad marnościami i wszystko marność“.

W czasie wielkiego postu¹⁾ nie wolno kobiecie przeglądać się w zwierciadle, nie wolno jej również barwić oczu, twarzy i brwi. Jest to duże umartwienie, gdyż ile kosmetyków, tyle sideł miłosnych.

Pociągając powieki i rzęsy kohołem²⁾, mówi się: „Oczy poczerńiłam, kto na mnie spojrzy, oszaleje z miłości“.

Mydło magiczne, umyślnie przyrządzone w 27-ym dniu postu, zmywa nieprawości i myśli niegodne. Korra korzenia orzecha włoskiego, którą się żuje, aby dziąsłom i wargom nadać ceglasto-karminową barwę, wymaga również pewnych formulek. Stanąć trzeba twarzą, zwróconą do słońca i wyrzec:

„Niech mój „suak“³⁾ wonnemi uczyni usta moje“. „Niech kochankowie moi będą tak liczni, jak ziarna winnego grona“.

Formułki tej używa zarówno kobieta, zamknięta w haremie, jak i kurtyzana o mnogich wielbicielach. Gdyż są i kurtyzany w tem społeczeństwie, tak jak u starożytnych narodów. Życie ich jest jednak ukryte. Śpiewają i tańczą zarówno na kobiecych, jak i na męskich zebraniach. Nikt nie pogardza nimi; czyż ich jest winą, że anioł w łonie matki takie przeznaczenie na czołe im wypisał?

Ważną rolę odgrywa również „henne“, roślina, barwiąca skórę na czerwono-brunatny kolor. Farbuja nią włosy, aby zachować ich ciemną barwę. Siwych kobiet niema między arabkami, a blondynki i rude robią, co mogą, aby poczernić włosy, gdyż w przeciwnym wypadku narażają się na drwiny. Przykładanie „henne“ odbywa się ze ściśle określonym ceremonjałem; maluje się nią ręce, paznogie, stopy, i ma ona moc magiczną. Farbują nią stopy dziewcząt po śmierci, aby gotowe były na wesele w raju.

Dziewczęta, nawet zamożne, na codzień okrywają głowę skromną chusteczką bawełnianą. Ubranie odświętne, spuszcza warkocze, które przydłużają jedwabnymi czarnymi splotami i przytrzymują paskiem. Przepaskę aksamitną, naszywaną złotymi blaszkami, kładą na czoło, a po obu bokach głowy, na skroniach, przytwierdzają srebrne, okrągłe, cyzelowane nausznice. Mężatki owiązują głowę chustką z frendzlami, jedwabną, wzorzystą, kolorową, europejskiego wyrobu. Składają ją na ukos i dwa końce wiążą nad czołem. Frendzle, spadając, okalają twarz. W wielkie uroczystości kładą po środku czoła złoty, płaski, okrągły naczólek, wykładany drogiemi kamieniami, stroją się w pióra, djademy, lecz chustki nigdy nie zdejmują. Czeszą włosy w skrytości, bo włosy wypadłe wraz z obciętemi paznogciami mogłyby posłużyć do szkodliwych guseł.

Kobiety lubują się w klejnotach. Nogi w kostce, ramiona, obarczone są złotem, ciężkimi bransoletami,

w uszach wiszą olbrzymie kolce, szyję okalają naszyjniki z pereł. Rubiny i szmaragdy są ich najulubieńszą ozdobą. Do każdego klejnotu jest przywiązany czar.

Wobec rozpowszechnionych zabobonów, wiary w chochliki, duchy, nie dziwnego, że wróżki, czarownice, jasnowidzące odgrywają wielką rolę. Jest ich niezliczona ilość. Leczą wszystkie choroby, rzucają uroki, paraliżują złośliwe zamiary — królują, jednym słowem, wespół z królową domowych duchów: „L'Arifą Żmiją“, i z Szatanem, którego kulti uprawiają wśród wrzasków, śpiewu, muzyki i tańców rytualnych adepci jego, murzyni gwinejscy, specjaliści od wypędzania djabła z opętanych.

Na szczęście ludzkie czyha moc złych sił. Czyż nie one to sprawiają, że są kobiety nieplodne, odejmując im w ten sposób możność obmycia się z win. Wszystkim wiadomo, że Bóg przebacza je jedynie kobietom, które porodziły. Nieszczęsne, nie mogąc pogodzić się z myślą o swem upośledzeniu, utrzymują, że dziecko usnęło w ich łonie, i w gusłach szukają sposobu, któryby je obudził. Niektóre praktyki wstrętem nas przejmują, inne są zabawne, jak np. ta, która polega na spożyciu serca zająca. Dziecko nie omieszka otrząsnąć się z uśpienia i ruchami szybkimi, jak zajęczy bieg, życie swe oznajmi.

Inne czary przybierają cechy mistyczne. Chcąc zdjąć z siebie to przekleństwo, kobieta w milczeniu idzie zaczerpnąć wody z siedmiu nienakrytych studni, a umywszy się, pośpiesza ją wylać na próg meczetu, o godzinie, w której modlitwa rozbrzmiewa w jego wnętrzu. Woda obmyła zmazę, spłynął z nią urok, rzucony, a wierni, uświęceni przestawianiem z Bogiem, na podszwach swoich pantofli zabiorą go i rozproszą.

Wielce pomocne są także odwiedziny cmentarza. Cmentarz arabski nie tchnie grozą, jest on naprawdę miejscem spoczynku, tak dla umarłych, jak i dla żywych. Jest celem spacerów i przyjacielskich zebrań, tu matka przychodzi odwiedzić grób dziecka; wie dobrze, że dusza dzieciny przylatuje do niej wtedy i, spocząwszy na jej kolanach, daje się kołysać.

Na tych cmentarzach kobieta wyszukuje grobów zapomnianych lub nieznanych, na które pobożni rzucili mitrowe gałązki. Z tych gałązek skradzione listki, które spożyć z mężem, są skutecznem lekarstwem. Lecz, ażeby ta kradzież uszła jej bezkarnie, musi przeprosić pokrzywdzonych. Pochylona nad mogiłą przemawia do nich:

„Przyjm pokłon mój, o pogrzebiony!

„Nie wiem, czyliś mężem, czy niewiastą.

„Jeśliś mężczyzną, nazwę ciebie ojcem,

„Jeśliś kobietą, wołam na cię: matko!

„O, przebacz mi!

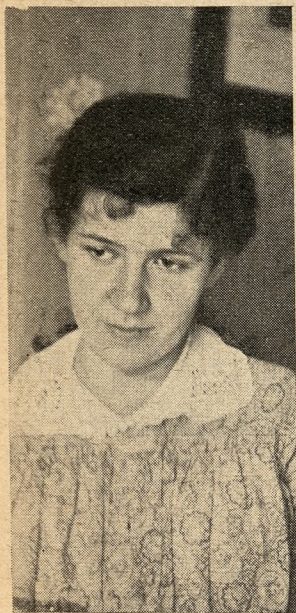
¹⁾ Ramadan.

²⁾ Czernidło.

³⁾ Korzeń orzecha włoskiego.

(dok. nast.)

AKWARELE Ś. P. JANINY GESSNERÓWNY



Ś. p. Janina Gessnerówna

Z nielicznej garstki tych młodych artystów, którzy już znaleźli właściwą sobie drogę wypowiedzenia się malarskiego, ubył talent o niezaprzeczalnej wartości, indywidualność twórcza niecodzienna. Była nią ś. p. Janina Gessnerówna, artystka stosunkowo mało znana wśród szerokich warstw miłośniczych, może dlatego, że dopiero w ostatnich latach talent jej zaczął osiągać pełnię rozkwitu w technice, jakby dla niego właśnie stworzonej — w akwareli.

Nie odrazu jednak udało mu się trafić na tę drogę. Dzisiaj, gdy jego linja rozwojowa jest prze-

cięta przez śmierć, interesującą rzeczą będzie przebiec ją od źródła, śledząc jej załamania się i zwroty.

Ś. p. Janina Gessnerówna urodziła się w Warszawie w 1896 r. Dzieciństwo i wczesną młodość, spędzone na Podlasiu, pozostawiły niezatarte piętno na jej duszy i wrażliwości artystycznej. Tam poraz pierwszy przemówiła do niej natura, tam zetknęła się z ludem podlaskim, małomównym, skrytym ludem bohaterów unickich, tam pokochała przestrzeń pól, drzewa i zwierzęta.

Zamiłowanie do rysunków obudziło się w niej bardzo wcześnie. Marginesy jej kajetów szkolnych mogłyby dużo o tem powiedzieć. Ta młodzieńcza pasja nie rozplynęła się jednak w dyletantyzmie. Po skończeniu pensji ś. p. Gessnerówna przez rok uczęszczała do szkoły rysunków i malarstwa prof. F. Słupskiego, poczem wstąpiła do Szkoły Sztuk Pięknych, do klasy prof. E. Trojanowskiego.

Lata jej studjów zbiegły się z ciężkim dla kraju okresem okupacji niemieckiej. Trzeba było dużej sumy wysiłków i ofiar osobistych, aby utrzymać się na raz obranej drodze. I tu wyrobiły się i zahartowały wrodzone cechy charakteru Zmarłej, jej niezłomność, wytrwałość i entuzjazm w dążeniu do celu, promieniujący na najbliższe otoczenie kolegów, których umiała zawsze wesprzeć dobrą radą, przykładem i pomocą.

Poza prof. Trojanowskim, mistrzami jej byli: prof. Krzyżanowski, pod którego kierunkiem robiła studja plenerowe na Kaszubach, i Wojciech Kossak. Zaznaczyć należy, że była jedyną kobietą pośród uczniów Kossaka w pracowni jego w Szkole Sztuk Pięk-

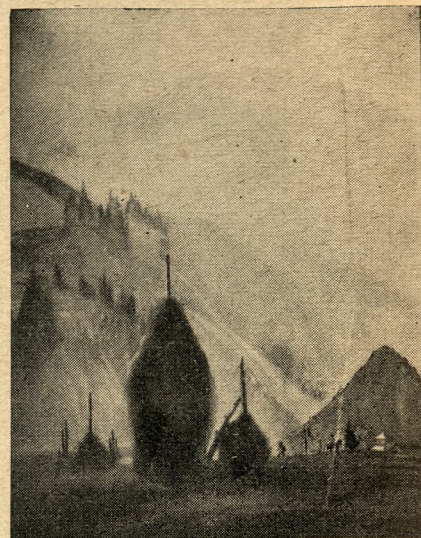
nych i zdumiewała niezwykłym instynktem batalistycznym i wyczuciem konia. Niestety, tych wartości, tak rzadko spotykanych u kobiet-malarek, nie zdążyła rozwinąć w żadnej większej kompozycji. Dwa lata pracy pod kierunkiem Kossaka dały jej bardzo wiele, zarówno pod względem twórczego rozpędu, jak i tej wiary w siebie, bez której niema prawdziwie radosnej twórczości.

Po opuszczeniu Szkoły przez Kossaka, ś. p. Gessnerówna wstępuje do klasy prof. Pruszkowskiego, tego doskonałego ogrodnika talentów, pod którego szczęśliwą ręką zakwitło już tyle szlachetnych szczepów artyzmu. On pierwszy skłonił Gessnerównę do posługiwania się wodnymi farbami, zamiast stosowanej dotychczas przez nią techniki olejnej. On pierwszy bodaj wyczuł w niej rasową akwarelistkę.

W ostatnim okresie pobytu w Szkole ś. p. Ges-



Janina Gessnerówna: „Głównki”.



Janina Gessnerówna: Krajobrazy z Tatr i Huculszczyzny.

snerówna poznaje się ze Ślędzińskim i pracuje razem z nim nad wspólnym modelem. Następuje nowy punkt zwrotny w jej rozwoju: zrozumienie konieczności poszukiwania nowych form. Jednocześnie wzbogaca zasób swych środków technicznych sangwiną. Z tego okresu pochodzi jej największa wykończona kompozycja: „Tancerka”. Inne pozostały w szkicach, do których obiecywała sobie wrócić po całkowitem opanowaniu techniki akwarelowej, jakie widzimy w jej pracach z Żabiego.

Pobyt w Paryżu, uczęszczanie na croquis do specjalnych pracowni, długie godziny, spędzane w muzeach na kontemplacji arcydzieł — to wszystko rozszerzyło znakomicie jej horyzonty malarskie. Szczegółem umiłowanym otaczała dzieła Boticellego, w szeregu dokonanych kopii śledząc jego sposób wypowiedzenia się malarskiego.

Po powrocie do kraju wyjeżdża na studia pejzażowe w Tatry i na Huculszczyznę. Tam powstają te małe arcydzieła krajobrazu, w których z nieporównaną subtelnością wycucia natury i niezawodną trafnością instynktu malarskiego rozwiązane zostały najtrudniejsze problemy pleinair'u — oddana wibrująca przejrzystość powietrza, świetlistość mgły, ruchliwość żywej wody, zmienność chmur i obłó-

ków. Swoboda we władaniu techniką akwarelową zjednała jej u kolegów przydomek „kobiecego Fałata”. Wpływy i pokrewieństwa malarskie są tu zupełnie przypadkowe; ś. p. Gessnerówna bowiem nigdy uczenicą Fałata nie była. Podnieść należy fakt, że w posługiwaniu się akwarelą była samouczkiem. Sama mozolnie szukała sposobów kładzenia farb, aż wreszcie osiągnęła upragniony rezultat.

Prace swoje wystawiała wielokrotnie w Zachęcie, której była członkiem rzeczywistym. W 1928 r. w Związku Artystów-Plastyków w Warszawie urządziła zbiorową wystawę swoich prac, którą wysłała następnie do Lwowa, Bydgoszczy i Poznania. Jedną z nich została zakupiona przez Muzeum Miejskie w Bydgoszczy. Ostatni raz wystawiała swe obrazy jesienią 1929 r. w Zachęcie. Znamcy pokładali w niej najpiękniejsze nadzieje, którychby niewątpliwie nie zawiodła, gdyby nie śmierć.

Piękny dorobek przedwcześnie zgasłej artystki powinien być jaknajrychlej zgromadzony i udostępniony szerokiej publiczności przez urządzenie wystawy zbiorowej jej prac w Zachęcie. Są one nie tylko dowodem rzetelnego talentu, ale mogą być zachętą w pracy dla tych, którzy mozolnie szukają swojej własnej drogi.

S. P. O.



Janina Gessnerówna: Hucul.

Z SALI ODCZYTÓW

Odczyt dr. Reicherówny: „Zagadnienia współczesnej pracy kobiecej”.

Pod takim tytułem dr. Reicherówna wygłosiła w Kole Studentów Katolickich referat, w którym poruszyła dwa zagadnienia: feminizmu t. zw. integralnego i tragedji kobiet samotnych.

Istnienie feminizmu integralnego, polegającego na całkowitem wyżyciu się umysłowych i duchowych sił kobiety bez względu na warunki, epokę i środowisko, widzi prelegentka nawet w średniowieczu, przytaczając na dowód swej tezy dane kronikarskie o wszechstronności pracy kobiet w klasztorach. Temu feminizmowi integralnemu przeciwstawia nowoczesny feminizm wojujący, który, według niej, nie spełnił swoich obietnic, gdyż nie umożliwił kobiecie całkowitego wyżycia się jej sił, nie zażegnał klęski samotności.

Pierwsza część odczytu oparta była na przesłankach historycznych, druga — na bezpośredniej obserwacji prelegentki, która, jako lekarz, ma możność bezpośredniego zetknięcia się z niedolą kobiecą.

Referat wywołał ożywioną dyskusję wśród zebranych, dyskusję, która, rzecz prosta, nie wyczerpała tak bogatego tematu.

S. P. O.

Kobieta w świecie i w domu

PRZYJĘCIE U P. PREZYDENTOWEJ MOŚCICKIEJ.

W d. 7 maja między g. 5-tą a 7-mą pani Prezydentowa Ignacowa Mościcka wydała w salonach Zamku Królewskiego przyjęcie, które zgromadziło około tysiąca osób ze sfer rządowych, literatury, sztuki i prasy. Przyjęcie, utrzymanie w miłym tonie towarzyskim, zaszczycił swą obecnością Pan Prezydent Rzeczypospolitej.

JUBILEUSZ PIERWSZEJ POETKI ŚREDNIOWIECZA.

W Niemczech odbyła się wielka uroczystość tysiąclecia urodzin największej poetki średniowiecznej, sławnej mniszki Hroswity.

Dzień ten postanowiono uczcić na jej rodzinnej ziemi, w Gandersheim. Ciche miasteczko u stóp Hareu, przeżywało święto nad świętami. Spokojne uliczki napęłnił obcy gwar i ruch. Wśród tłumów przybywających gości, kobiet i mężczyzn, zwracały uwagę postacie reprezentacyjne: przedstawiciele rządu Rzeszy Niemieckiej, oraz ministrów i sejmu brunswickiego, kościoła i świata naukowego. Nie wiadomo, czy mieszkańcy tego zapadłego górskiego kąca przejmowali się zbytnio kiedykolwiek przedtem świadomością, że to właśnie ich miasteczko jest złączone z imieniem Hroswity, ale odtąd napewno z dumą będą myśleć o tem i szczycić się, że na ich ziemi żyła i tworzyła największa poetka średniowiecza.

Stare, barwne domki cechowe, o wysokich, śpiczastych dachach, zakwitły flagami. Uroczystość rozpoczęło nabożeństwo, poczem odegrano mistyczny utwór „Tais”, suitę muzyczną, złożoną z trzech części, bogatą w chórne motywy średniowiecznej muzyki religijnej, ze słownym tekstem, opartym na dramacie Hroswity. Autorka tej kompozycji potrafiła połączyć w prze-

dziwny sposób ducha średniowiecza z nowoczesnym odczuciem harmonji. Całość pomyślana i specjalnie zastosowana do wymagań radio-techniki mikrofonu, ustawionego też w tym przybytku Pańskim.

Kompozytorka tego misterjum muzycznego Alicja Flieger, twórczyni i kierowniczka szkoły dla kobiet przy stacji nadawczej radiowej północno-niemieckiej „Norag”, skorzystała z okazji tysiąclecia Hroswity i zainicjowała zjazd kobiet, pracujących przy audycjach radiowych.

Te posiedzenia kobiece, przy licznych zresztą współudziałe mężczyzn, odbywały się w nowym kościele gandersheimskim, a mikrofon skrzętnie przenosił setkom tysięcy niewidzialnych słuchaczy słowa i dźwięki muzyczne, rozbrzmiewające wśród natężonej uwagi uczestniczek zjazdu.

Poetka Marta Grosse, której źródłem natchnienia są uczucia religijne, wygłosiła nastrojowy odczyt o Hroswicie. Potem przemawiała także inicjatorka zjazdu A. Flieger. Opierając się na doświadczeniu wieloletniej praktyki, wypowiedziała się bardzo fachowo i sumiennie o sposobie, rodzaju i najodpowiedniejszych warunkach dobrych audycji radiowych. W ciągu dalszego programu zabrała głos Wilma Möckenberg, wykazując, jak ważne jest przyswojenie sobie prawidłowej wymowy, i żądając reform, prowadzących do tego, by czystość wymowy i kultura języka stały się własnością jak najszerszych warstw. Ewelina Faltis, korepetytorka miejskiej opery w Berlinie i sławnych widowisk muzycznych w Bayreut, zarazem kompozytorka pełnych wdzięku utworów, wykazywała na różnych motywach to, co w melodji jest przejściowym „szlagierem”, a co nieprzemijającym pięknem: sztuką. Zarazem tłumaczyła, w jaki sposób mogłoby radio spełnić rolę wychowawczą: podniesienia poziomu kultury muzycznej słuchaczy, a przez to i ogólnej narodowej.

Zabierała też głos Alma Rogge, laureatka dolno-niemieckiej nagrody za najlepszy dramat. Potem odczytywały i recytowały swoje szkice i nowele inne autorki.

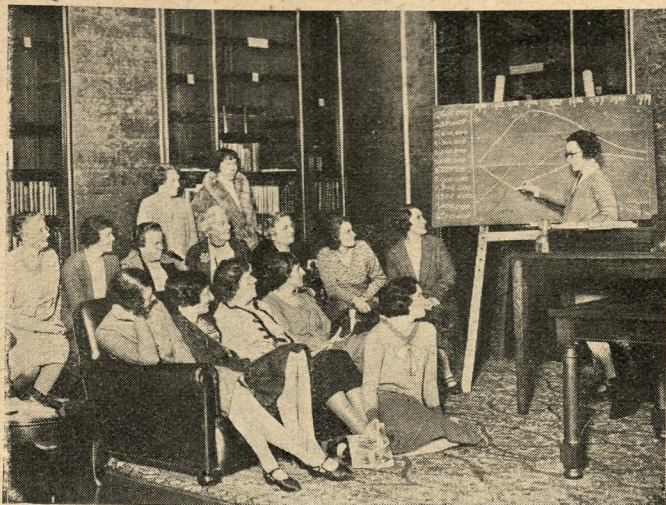
Tak to jeszcze po dziesięciu wiekach duch poetki, Hroswity z Gandersheim, chroni swe siostry przed grzechem zaniedbania, zmarnowania w sobie iskry bożej talentu, i pobudza nowoczesną kobietę do nowego wysiłku, nowej twórczej pracy.

JAK PROWADZIĆ ZEBRANIE.

Kobiety, które na długo przed otrzymaniem równouprawnienia politycznego brały faktyczny udział w życiu politycznym i w pracach społecznych, musiały także nauczyć się prowadzenia zebrań. Jeszcze przed wojną, w r. 1912 podczas wyborów w Anglii, sekretarkami najpoważniejszych kandydatów były kobiety; one to prowadziły zebrania, pisały wielokrotnie mowy kandydatki i kierowały agitacją przedwyborczą. To samo było i u nas. Pomimo tej, długoletniej już praktyki, pismo kobiece angielskie „The Woman's Leader” podaje ciekawe wskazówki: jak powinny odbywać się zebrania. Są to rzeczy teoretycznie naogół znane. Nie zawadzi jednakże przypomnieć je, dla użytku młodych społeczniczek.

Najważniejszą rolę na każdym zebraniu odgrywa osoba przewodniczącej. Od niej właściwie zależy najwięcej spokój, powaga i, co najważniejsze, *omocność* obrad. Przewodnicząca powinna przede wszystkim doskonale się zaznajomić z porządkiem dziennym zebrania (u nas, w Polsce, istnieje niestety, zwyczaj wybierania niekiedy przewodniczącej ad hoc, zwyczaj to b. zły), musi znać istotę tematów, poddanych pod dyskusję i omówić je z sekretarką. Dalej, przewodnicząca musi być absolutnie punktualna (tak, tak!); niedosyć jednak na tem: powinna również punktualnie otworzyć zebranie. Jeżeli bowiem zacznie je opóźniać, najpierw 5, potem 10 i 15 minut, może być pewna, że uczestnicy zebrania spóźnią się o 15, 20 minut, a wkońcu o pół godziny.

Cały talent przewodniczącej objawia się w kierowaniu dyskusją. Do tej czynności potrzebne są takt i cierpliwość, ale



Lekcja polityki.

również dowcip, poczucie humoru sytuacji i należyte jej naświetlenie. Trzeba znać i umieć subtelnie zaznaczyć granice między uprzejmością a stanowczością. Trzeba zachęcić do zabrania głosu nieśmiały, powstrzymać zbyt rozlewne potoki wymowy. Przewodnicząca powinna też znać miarę czasu, który może być udzielony każdemu dla jego przemówienia, pomimo bowiem wolności głosu, sążniste mowy są jednak absolutnie niemożliwe. Drugą ważną rzeczą jest pilnowanie, aby przemawiające trzymały się ściśle porządku dziennego i swoich tematów.

Bardzo ważną jest sprawa wniosków. Przewodnicząca powinna baczyć, aby były one jasno i ściśle, treściwie ułożone i odczytane, zwrócić winna baczną uwagę na porządek poddania ich pod głosowanie, wybierając najpierw wniosek, najdalej idący, wreszcie wezwać do głosowania i po skończeniu go, polecić odczytanie wniosku. Wszystkie wnioski, wraz z nazwiskami wnioskodawców i rezultatem głosowania, muszą być zapisane w protokole zebrania.

A więc: ścisłość, punktualność, przytomność umysłu, takt, a nadewszystko bezstronność, oto czego wymagać należy od przewodniczącej. Wszystkie te wskazówki dotyczą zresztą i... przewodniczącego.

Kobiety angielskie traktują swój zawód społeczny lub polityczny z całą powagą i sumiennością. Załączona rycina przedstawia wykład z zakresu ekonomii politycznej. Prelegentką jest znana działaczka Mary Pickford; audytorjum składa się z członkiń londyńskiego towarzystwa, przeważają żony posłów, pragnące zaznajomić się z zakresem pracy mężów; aby pomagać im w działalności pozaparlamentarnej.

KOLONJA NA HELU.

Sekcja wycieczkowa krakowskiego ogniska nauczycielskiego urzędu w tym roku kolonję wypoczynkową na Helu. Będzie ona czynna w lipcu i sierpniu. Oplata w pokojach 2 i 3 osobowych, wyniesie 9 zł. 50 gr. dziennie. Do dnia 5 czerwca złożyć należy zadek, 100 zł. Bliższe informacje: A. Korzeniewski, ul. Felicjanek 5, Kraków.

PRACA NA KOLONJACH LETNICH.

„Rodzina Wojskowa” posiada pomiędzy innymi także Wydział Uzdrawiskowy, który pod przewodnictwem pani Rogalskiej pracuje bardzo intensywnie i zasłużył sobie na serdeczną wdzięczność tych licznych rodzin oficerskich, którym umożliwia wysłanie dzieci na kurację do uzdrowisk. W ubiegłym sezonie, funkcjonowały kolonje lecznicze R. W. w Ciechocinku i

w Rabce. Był projekt uruchomienia kolonji i w Zakopanem, nie doszedł jednak do skutku dla braku zgłoszeń: wpłynęły tylko dwa.

W Ciechocinku w przeciągu trzech sezonów, z których każdy trwał 4 tygodnie, korzystało z kuracji 55 dzieci. Wiek pensjonarzy wahał się od lat 5 do 18. Ogólny wynik dla zdrowia dzieci był b. pomyślny. Opiekę sprawowały w każdym sezonie: wychowawczynie, pielęgniarka oraz harcerz lub harcerka. Dzieci jadły 5 razy dziennie, jedzenie było smaczne, pożywne, w nieograniczonej ilości. Opiekę lekarską sprawował lekarz wojskowy.

W Rabce korzystało z kolonji 61 dzieci w wieku od lat 5 do 15. Sezon był jeden, sześciotygodniowy. Kilkoro dzieci leczyło się przez 8 tygodni. Opiekę stanowiły 2 wychowawczynie i 2 pielęgniarki. Opiekę lekarską sprawowała doktor Strátowa. Dzieci zjechały się na kolonje ze wszystkich zakątków Polski.

W nadchodzącym sezonie letnim „Rodzina Wojskowa” prowadzić będzie znów te same kolonje.

BIEDNE MĘŻATKI.

Tygodnik feministyczny „La Française” przytacza iście groteskową przygodę kobiety, świadcząca, do jakich absurdów prowadzą prawa francuskie, ograniczające swobodę ruchu mężatek.

Pani X., przebywająca z dziećmi na letnisku pod Paryżem, otrzymała od męża sporą sumę na wydatki. Nie chcąc trzymać pieniędzy u siebie, zwróciła się do miejscowego banku. Tam zapytano ją najpierw o dowód osobisty, a po przejrzeniu go, urzędnik odmówił przyjęcia w depozyt pieniędzy, żądając na to pozwolenia męża!

— Czy wobec tego wolicie panowie, aby mi te pieniądze ukradziono? — zapytała biedna mężatka.

Wtedy dyrektor „wpadł” na pomysł:

— Czy nie ma pani dorosłej córki?

Na szczęście, pani X. miała dorosłą córkę, 22 letnią i niezamężną. Wobec tego panienka złożyła sumę na swoje nazwisko — prawu stało się zadość!



Najmilszy sport sezonu.



Jaszczurówka — willa w której mieszkały amerykanki.

JAK SIĘ UCZYŁY AMERYKANKI W POLSCE

Jaszczurówka nad Zakopanem jest uroczym zakątkiem: lasy pełne tajemniczych gąszczów i miłego chłodu, na stokach wzgórz łąki i pola, tworzące przedziwną w barwie i formie szachownicę, a esowato biegnąca szosa raz wraz ukazuje dalekie widoki, coraz inne i coraz dalsze, aż do Cyrli, gdzie panorama doliny Zakopiańskiej i gór o każdej porze dnia, przy każdej pogodzie, nęci nowymi, nieoczekiwanymi efektami.

Ostatniego lata wśród tych różnorodnych widoków częstokroć można było widzieć zwracającą uwagę gromadkę pań. Wygląd i ubranie zdradzały cudzoziemki: w jednej ręce mały stołeczek, w drugiej — teka i farby. Panie podążały długim szeregiem, napętniając powietrze głośnym gwarem i śmiechem, by wreszcie usadowić się w jakimś zacisznym, malowniczym miejscu i pracować całymi godzinami w ciemnym skupieniu.

Była to grupa nauczycielek-amerykanek, które przyjechały do Zakopanego na studia.

Skąd się one tam wzięły? co ściągnęło je w tak egzotyczne dla nich strony?

Są rzeczy, które powstają, jak w bajce, bo, jak w bajce, dojrzewają nie czyjąś zdecydowaną myślą i wolą, lecz własnym pędem, który konsekwentnie i logicznie wskazuje drogę.

W roku 1924 byłam kierowniczką artystyczną fabryki zabawek „Gnom”. Pewnego razu prosi mnie dyrektor do swego gabinetu: dwie amerykanki zakupiły większą partję zabawek i pragnęły poznać się z projektodawcą. Jedna z nich, młoda jeszcze, o miłej twarzy i ujmującym obejściu, łamaną niemiecką starała się wypowiedzieć swoje uznanie dla moich modeli i chęć poznania innych moich prac. Zawiozłam je do mej pracowni.

Dowiedziałam się, że miss Elma Pratt jest pro-

fesorką estetyki w Cleveland, że przyjechała do Europy, by zakupić rzeczy ciekawe i charakterystyczne dla każdego kraju, z których po powrocie chce urządzić wystawę. Nabyła u mnie sporo autolitografij i akwarel, wyrażając chęć stałej ze mną współpracy. Pożegnaliśmy się, jak myślałam, na zawsze.

W parę miesięcy dostałam od niej list z Ameryki; w niezmiernie zajmujący i życzliwy sposób opisywała wspomnienia swoje z Polski i wrażenia, jakie wywiozła.

Odtąd korespondowałyśmy systematycznie, przez tę korespondencję poznałyśmy się, zbliżyły i zaprzyjaźniły.

W roku 1928 latem niespodzianie w liście z Wiednia, moja amerykańska przyjaciółka zaproponowała mi wspólny pobyt na jakiejś wsi polskiej, by móc pracować pod moim kierunkiem.

Zjechałyśmy się w Krakowie i osiedliły w Jaszczurówce, w prostych gazdowskich izbach, w bezpośrednim sąsiedztwie gospodarzy i ich żywego inwentarza.

Te parę tygodni, spędzonych w najprymitywniejszych warunkach, ułożyły się w sposób niestychanie interesujący, miły i pożyteczny. W bezpośrednim obcowaniu przekonałam się, jakie nieprzebrane skarby duszy, charakteru i umysłu ma moja towarzyszka, jak interesowała się wszystkim, rozumiała i odczuwała wszystko.

Pracowałyśmy obie dużo i z zapałem, jednocześnie starałam się w ciągłych rozmowach (prowadzonych fatalną niemiecką, która z biegiem czasu stała się jakimś dziwnym, przez nas same tylko rozumianym żargonem) zapoznać ją z naszą literaturą, historią, martyrologią lat niewoli, a także ze sztuką polską, a szczególnie z sztuką ludową, która tak bujnymi i wielorakimi płynie na Podhalu drogami.



W niepewną pogodę — praca przed chatą.

Poznawała lud nasz, jego życie i zwyczaje i odnosiła się do niego z serdeczną wyrozumiałością.

To też gospodarze nasi, ludzie poczciwi i zacni, pomimo obcego języka i niemożności bezpośredniego porozumienia się, pokochali ją szczerze i stosunki w naszej zagrodzie pełne były wzajemnej ufności i życzliwości. Gdy nastały we wrześniu długie wieczory, a praca przy małej świeczce okazała się niemożliwą — „pani amerykanka“ grywała na skrzypcach polskie ludowe melodie, a cała rodzina gazdowska, od trzyletniej Zosi począwszy, słuchała, pełna zachwytu.

Lato upływało, sielanka nasza dobiegała końca, miss Pratt jechać miała na dalsze studia do Wiednia; mówiłyśmy o wyjeździe: „Ja tyle wyniosłam tego lata! to wszystko, czego się nauczyłam, co widziałam i słyszałam, jest tak ciekawe i nieznane dla nas, że chcę i muszę urządzić tu kursa rysunkowe dla amerykan, by poznali i przeżyli to, co ja przeżyłam“.

Pomysł wydawał mi się piękny, jak pięknym wydaje się marzenie nieziszczalne..

Lecz przywykłam już tak do niezwyklej inicjatywy, niespożytej energii i bajkowej pomysłowości mej przyjaciółki, że, kryjąc sceptycyzm w głębi serca — przyklasnęłam tej myśli z zapalem. Tak rozstałyśmy się.

(dok. nast.)

Marja Werten.



Codzienna praca w plenerze.

ZWYCZAJE TOWARZYSKIE

II. ZAPROSZENIE NA OBIAD.

Zaproszenie na śniadanie, obiad lub kolację stanowi dowód przyjaznych stosunków, albo conajmniej sympatji, o ile nie jest wynikiem interesu lub konwenansu. W tym ostatnim wypadku nie należy podkreślać właściwego powodu, aby uprzejmości nie nadawać pozorów interesu.

Jeżeli zapraszamy krewnych, albo bliskich przyjaciół, możemy to zrobić listownie na kilka dni naprzód, albo poprostu przez telefon. Ale jeżeli zaprasza się do swojego stołu znajomych bardziej ceremonialnych, wówczas stosowniej będzie wysłać zaproszenie wcześniej o jakie dni 10. Będzie to uprzejmiej, a przytem będziemy mieli pewność, że osoby, na które się rachuje, nie mają już innego zaproszenia. Gdyby tak było, na ich miejsce można zaprosić przez telefon młodych mężczyzn, albo stałych bywalców domu, bo wówczas otrzymamy natychmiast odpowiedź. Pomimo to, nie należy zapomnieć o wysłaniu nazajutrz biletu „dla pamięci“, potwierdzającego to zaproszenie, z oznaczeniem dnia i godziny, dla uniknięcia nieporozumienia.

Zaproszenie ceremonialne winno być wysłane listem, albo na kartce brystolu (białej lub niebieskiej), z następującym napisem: „Kazimierzostwo X. prosią Panią Y., aby zechciała zrobić im zaszczyt przybycia do nich na obiad dnia o godz.“, a u dołu kartki adres.

Nigdy nie należy zapominać o podaniu swojego adresu, gdyż osoba zaproszona może stracić wiele czasu, szukając go w pamięci, w notesie albo w książce adresowej. Zapraszając kobietę, wyrażenie „zaszczyt“ jest stosowniejsze, niż „przyjemność“. Zawsze lepiej jest okazać za wiele uprzejmości, niż za mało.

Jeżeli piszemy list, sposób wyrażenia zaproszenia zależy od stopnia zażyłości, jaki nas łączy z daną osobą: „Zechce mi Pani zrobić ten zaszczyt (albo przyjemność) przybycia na obiad (czy na kolację) dnia o godz.“.

Po wielkim obiedzie (u nas — kolacji) bywa zwykle popis muzyczny, gdyż prowadzenie rozmowy z mało znanymi, albo poraz pierwszy spotkanymi osobami nie każdemu sprawia przyjemność. W razie, jeżeli biesiadnicy składają się z amatorów gry w karty, należy przygotować stoliki do bridge'a lub do pokera.

Inne czasy — inne zwyczaje! Dawniej, przed laty, spożywało się obiad o 2-giej po poł., a zabawy, przedstawienia teatralne, koncerty i t. p. rozpoczynały się o 5-tej, a kończyły o 9-tej wieczorem. Po powrocie do domu spożywało się kolację. Z czasem, na skutek zmian spowodowanych godzinami urzędowymi, jadało się o 4-tej, później jeszcze — o 5-tej, o 6-tej. Przedstawienia teatralne rozpoczynały się o 7-ej, a kończyły o 10-ej lub 12-ej w nocy. I tak powoli doszliśmy do godzin, rządzących dzisiaj naszym czasem. W samej rzeczy, niema sposobu, aby po obiedzie, spożytym w domu prywatnym (albo, jak u nas, po kolacji), można było iść jeszcze do teatru. Trzeba wybrać albo jedno albo drugie, gdyż wielki obiad ceremonialny, sztywny, dostosowany do praw etykiety i szyku, według przepisanej zwyczajów, musi być podawany późno; poczem następuje conajmniej godzinka spokoju.

Mary.

JEDWABNICTWO

Przyszła na kraj nasz taki moment, że przysłowie: „Jakoś to będzie”, którym się dotąd żyło, zbladło i straciło na wartości. Zrobiło się tak źle, że coraz głośniejsz biją dzwony na alarm — coraz więcej odzywa się głosów, nawołujących nie tylko do oszczędności, ale i do wytężonej pracy na wszystkich polach. Nie wolno nam zaniedbać dziś niczego, co mogłoby dać pracę tym tysiącom, które daremnie po nią sięgają.

Jako kraj rolniczy, szukać musimy przede wszystkim źródeł zarobku, z ziemi płynących. Dużo ukrytych w ziemi skarbów czeka na uderzenie kilofa, aby się na powierzchnię wydostać i trysnąć strumieniem ożywczym na tych, którzy pracowali nad wydostaniem niewyzyskanego dotąd bogactwa. Jednym z takich źródeł jest hodowla jedwabnika. Dziedzina ta leży u nas jeszcze odłogiem.

Sama myśl jednak wprowadzenia u nas przemysłu jedwabniczego nie jest nową. Powstała ona przeszło 80 lat temu — czego dowodem, istniejące w owym czasie Towarzystwo Jedwabnicze.

Towarzystwo Jedwabnicze usiłowało spopularyzować ideę hodowli.

Jeśli zaś celu tego nie osiągnęło i ogół dotąd zapatruje się na tę sprawę, jeżeli nie sceptycznie, to z zupełnym niezrozumieniem doniosłości jej dla naszego kraju, nie jest to wina siewców tej myśli, a po prostu fatalnego zbiegu okoliczności.

Zasadniczą przyczyną niepowodzenia hodowli jedwabników było to, że w momencie, gdy zaczęliśmy o niej myśleć, panowała w całej Europie zaraza, zwana Pebryną, która siała straszne spustoszenie wśród gąsienic jedwabnika i to w ostatnim okresie ich życia. Zagranicą natychmiast zaczęto chorobę badać i szukać środków zaradczych. Uczony francuski Pasteur zbadał istotę choroby i zapobiegł zagładzie jedwabnictwa europejskiego.

W Polsce w owym czasie hodowla spoczywała w rękach ludzi bardzo zamiłowanych, ale nie stojących na wysokości zadania, którzy zlekceważyli zupełnie wynalazek Pasteura, czego rezultatem było zwiększenie się zarazy i prawie zupełny zanik ładnie rozpoczętej pracy.

Drugą przeszkodę stanowiły rządy zaborcze, które nie tylko nie pomagały, ale przeciwdziałały każdej akcji propagandowej wśród ludności wiejskiej.

Do dwóch poprzednich czynników dodać musimy trzeci, a mianowicie to, że ówczesne społeczeństwo skierowywało cały wysiłek na ideę odzyskania niepodległości i pielęgnowania ducha narodowego, a na problemy gospodarcze mało miejsca zostawało. Nic więc dziwnego, że jedwabnictwo — myśl wówczas nowa — musiało pójść w kilkudziesięcioletnią odłokę.

Dziś wszystkie czynniki, niesprzyjające rozwojowi przemysłu jedwabniczego, nie istnieją.

Rząd nasz nie tylko nie przeszkadza, ale, o ile może, pomaga, np. wydając zarządzenie sadzenia morw na plantach kolejowych. Zarazę w znacznym stopniu unieszkodliwiono i dziś nikt nie potrzebuje się bawić w kłopotliwą produkcję jajeczek jedwabnika, bo stacja doświadczalna w Milanówku pod Warszawą dostarcza takowych, pod gwarancją wolnych od zarazy, i udziela wszelkich wskazówek, dotyczą-

cych hodowli, a następnie nabywa wyprodukowany jedwab.

Bieda zaś zmusza do wyzyskania wszystkich najmniejszych źródeł dochodu.

Czem zaś jest cienka nitka jedwabna dla handlu i przemysłu, o tem wie każdy.

Do rozwoju jedwabnictwa mamy warunki ani trochę nie gorsze, niż inne kraje, które jedwab produkuje nie tylko na własne potrzeby, ale i na eksport.

Hodowla gąsienicy powinna być prowadzona na małą skalę — jako dodatkowe zajęcie rolnika. Wielkie przedsiębiorstwa tego rodzaju wymagałyby bardzo dużych nakładów — w postaci kosztownych pomieszczeń i wykwalifikowanego kierownictwa, a przede wszystkim wielkich plantacji drzew morwowych — podczas, gdy na małą skalę da się to samo urządzić minimalnym kosztem.

Prawie każdy rolnik znajdzie w swoim gospodarstwie dość miejsca, aby zasadzić pewną ilość drzew morwowych.

Można je sadzić nie tylko w sadzie i parku, ale doskonale się nadają do obsadzania wszelkich dróg i miedz — ot tam, gdzie zwykle sadzimy topole, czy kasztany. Jaka taka szopa, w której można postawić piec i wstawić półki z gąsienicami, prawie wszędzie się znajdzie.

Sama hodowla polega na dostarczaniu gąsienicom, wylęgniętym z zakupionych jajeczek, odpowiedniego stopnia ciepła i karmieniu ich liśćmi morwy. Cały okres pielęgnacyjny trwa około 6-ciu tygodni, t. j. od połowy maja do pierwszych dni lipca. W tym czasie zwykle w polu niema tak dużo roboty, zresztą praca ta jest tak łatwa i lekka, że można do niej zużytkować ludzi, niezdatnych do cięższej roboty. Wszystkie czynności mogą wykonywać nawet starcy i dzieci.

Dochód z takiego maleńkiego przedsiębiorstwa — bez specjalnych kłopotów, a tak tylko, jako dodatek do codziennej pracy — może sięgnąć do 500 zł. za jeden sezon. Jest to grosz nie do pogardzenia.

Mamy już około 300 zamiłowanych hodowców, pracujących pod wskazówkami Stacji Doświadczalnej w Milanówku; chodzi teraz o to, aby ich nie było trzy setki, ale tysiące.

Importujemy jedwabiu za 40.000.000 zł. Jeśli nawet zrezygnujemy z ubrania jedwabnego (które, jednak, jako przepuszczające promienie ultrafioletowe, jest bardzo higieniczne), to zostaną jeszcze dziedziny, w których będzie zupełnie niezastąpiony — jak elektrotechnika i wyrób amunicji. Przy odrobinie dobrej woli i chwilowego wysiłku, pieniądze te nie tylko mogłyby zostać w kraju, ale otworzyłyby nowe możliwości pracy, która dałaby zatrudnienie tysiącom rąk. Zmniejszenie bezrobocia — to przecie bardzo ważny problem nie tylko gospodarzy, ale może jeszcze bardziej — moralny.

Brak pracy sieje nędzę i choroby, ale przede wszystkim straszne spustoszenie w duszach.

Cześć zrozumieć, że przemysł jedwabniczy może im dużo przynieść, stanęli ławą do pracy na tem polu i osiągnęli już poważne rezultaty, bo doprowadzili swoją produkcję do 40.000 kg. oprzędów — a przecie nie mają lepszych warunków klimatycznych, niż my.

Podstawą hodowli jedwabnika jest morwa, której liście wyłącznie dostarczają gąsienicy pożywienia. Jak sadzić i pielęgnować morwę, napiszę w następnym artykule.

M. Saryusz-Stokorska.

HERBATA

Każdy kraj ma swój obyczaj, jak wiemy; uwydatnia się to silnie i w przyrządzaniu herbaty, tego, zdawałoby się kosmopolitycznego napoju. A jednak odchylenia, przystosowane do smaku tych, dla których jest przeznaczona, mogą zrobić z niej pierwszorzędny, lub wstrętny napój.

Zazwyczaj herbata bywa parzona starannie, aby nie przeciągnęła; Niemcy natomiast gotują herbatę w garnku aż do wiśniowej barwy, scedzają po wygotowaniu otrzymaną esencję do dużego imbryka, w którym rozbierają ją wodą gotowaną i podają do nalania w filiżanki. Polska przejęła zwyczaje przyrządzania i podawania herbaty ze Wschodu i z Zachodu; parzy się ją starannie, bacząc na aromat (jak na Wschodzie) i podaje z cukrem, cytryną, śmietanką, z sokiem kwaśnym, lub winem czerwonym, jak na Zachodzie; tylko, że ze zwykłym u nas szerokim gestem, jednoczymy dodatki poszczególnych krajów, bo, niestety, zapomnieć nie możemy, że nas kiedyś stać było na to.

W Algierze dodają do herbaty wodę z kwiatu pomarańczowego, który kojąco działa na nerwy, neutralizując ujemny wpływ herbaty. Amerykanie, lubując się w ostrych, podniecających napojach, dolewają do herbaty likieru curaço, lub starego rumu. Arabowie dosypują do herbaty pół na pół listków suszonej zielonej mięty i parzą razem, co, zwłaszcza w upały, bardzo orzeźwia. Do miłego smaku i zapachu takiej kombinacji Europejczycy łatwo się przyzwyczajają i z przyjemnością orzeźwia się gorącym napojem. W Peru liście rośliny Coca, dodające cierpkości i goryczy, parzą razem z herbatą. W Chinach — ojczyźnie herbaty — używają ogólnie gorszego gatunku herbaty zielonej (chowając przedniejsze na export zagraniczny) i dodają do niej na małą łyżeczkę gwiazdkę anyżu, co bardzo podnosi jej smak; piją herbatę mocną, bez cukru i innych domieszek, dla podtrzymania organizmu i podniecenia nerwów.

Oryginalny jest sposób gotowania herbaty w odległych okolicach Sybiru i u Kirgizów; używają tam herbaty w cegielkach, wytłaczanych z odpadków liści i gałązek przy suszeniu, łączonych w masę krwią bydłą, a następnie prasowanych i suszonych; gotują ją w garnkach z mlekiem i tłuszczem, uważając to za smaczny i pożywny napój. We Francji cukier, a także cytryna lub mleko są ulubionymi dodatkami do herbaty. We Włoszech piją ją ogólnie z cienkimi plasterkami cytryny lub kwaśnych pomarańczy ze skórką.

Herbata jest odwarem liści rośliny chińskiej (thea bohea); rozgrzewa, przyspiesza trawienie i działa pobudzająco na system nerwowy. Osoby nerwowe i chore na piersi nie powinny jednak jej pić dużo, ani bardzo mocnej.

Do suszenia herbaty używa się listków i kwiatów, na gorsze gatunki — domieszki drobno krajanych, cienkich łądzynek. Gatunki herbaty nie zależą od odmian roślin, ale od czasu i sposobu suszenia jej na ogniu. Więcej przyrumienione liście dają herbatę czarną, na żółtą używany jest kwiat i bardzo młode listki, a na zieloną (zwykle cierpką i często fałszowaną szkodliwymi solami mineralnymi) pozostałe od tamtych gatunków skruszone listki, pokrajane łądzyki i cienkie gałązki.

Warunkiem dobrej herbaty jest jej gatunek, dobrać wody (powinna być miękka) oraz sposób przy-

rzadzania. Należy ją zalewać wodą wrzącą, gdyż w niższej temperaturze aromatyczne pierwiastki herbaty nie mogą się rozpuścić. Nigdy nie trzeba czekać, żeby się herbata zagotowała, będzie bowiem miała smak cierpki i straci aromat; powinna stać zaledwie kilka minut na samowarze albo na imbryku z gotującą się wodą. Imbryczek (najlepiej porcelanowy) przed zalaniem herbaty powinien być wyparzony i należy go ogrzać.

Do zaparzenia na łyżeczkę herbaty bierze się szklankę ukropu; kto lubi mocną, używa łyżeczkę (tak zwana od czarnej kawy) na jedną filiżankę. Po 15 minutach herbata, trzymana na parze w szczelnie zamkniętym imbryczku, jest gotowa; nalewając ją, trzeba uważać, aby listki nie wpadały do filiżanek. Prawdziwi amatorowie herbaty piją ją bez cukru i innych dodatków, bardzo gorącą.

Herbata, znana od niepamiętnych czasów w Chinach, Japonii i Indjach, w Europie ukazała się w szesnastym stuleciu; spotykamy się z nią nieco później w Polsce, gdzie „chińskiego ziela“, przywożonego z Gdańska, jako rarytas, pieczętowało przechowywany w apteczce samej Pani, używano jedynie w nagłych wypadkach choroby.

J. S.

RZODKIEWKA, RABARBARUM, SZPINAK I SZPARAGI

Cztery rodzaje wiosennych jarzyn, których sposoby stosowania w kuchni są tak różnorodne, że mogą one zastąpić nam rozmaitość i obfitość jarzyn jesiennych.

Do wszelkich, dawniej znanych sposobów gotowania i duszenia jarzyn przybyły ostatnimi laty liczne przepisy przyrządzania ich na surowo. Jeżeli przed wojną mówiono o zakładach leczniczych, stosujących dietę surówkową, jako o rzeczy oryginalnej, nieomal dziwacznej, to dzisiaj ta dieta surówkowa weszła w codzienne użycie prawie każdego domu, przynajmniej w postaci sałatek i kompotów z surowych jarzyn i owoców.

Nie tak dawno jeszcze nie dawano dzieciom do lat trzech, a nawet czasem do lat pięciu, ani kawałka owocu inaczej, jak ugotowanego w kompotcie, a ogórki, szczaw, pomidory uważano za produkt, mogący przyprowadzić dziecko o ciężką chorobę. Toż samo stosowano również do matek karmiących, zabraniając im użycia nawet truskawek i poziomki, a tem bardziej sałaty, ogórków i innej surowizny.

Poglądy na te rzeczy obecnie zupełnie się zmieniły; paromiesięczne niemowlę spija bez szkody, a nawet z korzyścią dla zdrowia, sok nie tylko z surowej pomarańczy lub jabłka, lecz nawet ze szpinaku, marchwi lub jarmużu. Matka jego może używać dowolnie sałat i ogórków oraz wszelkich owoców letnich, jesiennych i zimowych.

Z jarzyn wiosennych szczególnie rzodkiewka i szpinak znajdują obszerne zastosowanie w kuchni surówkowej. Rabarbarum jest za kwaśne a szparagi na surowo mają pewną goryczkę, która nie każdemu się podoba. Jeżeli zaczniemy kolejno rozważać pożyteczność każdej z wiosennych jarzyn, rozpoczynając od rzodkiewki, to przedewszystkiem należy ją uważać nie za przystawkę (za jaką uchodziła dotąd), lecz za jarzy-

nę bardzo pożywną, która na surowo, bądź też gotowana, może stanowić samodzielne danie. Szczególniej na wsi, we dworach odleglejszych od miast, gdzie niema możliwości korzystnego spieniężenia wiosennych jarzyn, czasem jednocześnie dojdzie taka ilość rzodkiewki, której od razu skosztować na przekąskę nie można, a pozostawienie w gruncie grozi sparceniem. Możemy ją wtedy użyć na wyborną jarzynę.

Obraną z wierzchniego naskórka, należy ją sparzyć wrzątkiem i pozostawić w nim przez pięć minut, aby usunąć z rzodkiewki zbytnią gorycz, przyczem garnek powinien być zdjęty z blachy, aby się woda dalej nie gotowała i nie nakryty pokrywą. Rzodkiewkę odcedzoną przekładamy do rondelka, dodajemy sporo dobrego masła (na kilo rzodkiewki 15 deka masła) solimy, wsypujemy małą łyżeczkę cukru i dusimy wolno na brzegu blachy, podlewając od czasu do czasu łyżeczkę wody, aby się jarzynka nie przypaliła. Zwolennicy jarstwa mogą rzodkiewkę nieobieraną zestrugać na tarce do buraków, osolić, zaprawić obficie śmietaną i jeść to z kartoflami z wody, zamiast zsiadłego mleka na kolację.

Rabarbarum już zyskało sobie powszechne uznanie, jako owoc deserowy w kompotach, kisielkach i jako przekładanie do ciasta. Mniej jest znane, jako zaprawa do lodów. Lody z rabarbarum, aromatyzowane wanilią, są wyborne i w smaku bardzo przypominają lody ananasowe. Nakoniec można używać rabarbarum na jarzynę. Grube kawałki lodu wkłada się na kilka minut do sosu przy duszonej pieczeni wołowej lub wieprzowej, a nawet przy piekącej się cielęciny. Gdy jarzyna zmięknie, należy ją wyjąć z sosu i trzymać oddzielnie aż do chwili podania, gdyż przepieczona wygląda bardzo nieapetycznie. Poza użyciem na świeżo, rabarbarum nadzwyczaj się nadaje na wszelkiego rodzaju konserwy: kompoty w Weck'ach, konfitury, a głównie marmelady do chleba i ciasta na zimę. Delikatny smak i właściwość bardzo łagodnego normowania czynności żołądka — robią tę marmeladę niezastąpioną w każdym gospodarstwie domowym.

Szpinak dotąd jedliśmy długo duszony, fasowany przez sito, zaprawiany masłem, mąką, śmietaną, cukrem, nawet octem — wszystkie te zabiegi razem dawały papkę o wysoce nieestetycznym wyglądzie i powodowały, że wiele osób nie tylko nie jadło szpinaku, lecz wprost się nim brzydziło. Nowe metody przyrządzania jarzyn w zastosowaniu do szpinaku są następujące. Szpinak umyty i odcedzony kraje się nożem w kostkę (kto woli drobny, może go na surowo przepuścić przez maszynkę) i dusi przeciętko ze sporym kawałkiem masła i solą, lecz bez wody. Rondel powinien być otwarty i cały proces trwać musi najwyżej pięć minut. Zaprawić można szpinak zależnie od woli: odrobiną mąki, śmietaną, śmietanką, mlekiem, trochę cukru. Raz zagotować z zaprawą, włożyć łyżeczkę najlepszego, śmietankowego masła, wymieszać, nie gotując i podawać. Tak przygotowany, jest ślicznie zielony, apetyczny i wielu dotychczasowych jego przeciwników zjada go z apetytem. Francuzi, włosi i Angliści gotują nawet szpinak w całości (épinard en branches); do naszych gustów ta forma jednak mniej przypada.

Hodowla szpinaku w ogrodach podmiejskich ostatnimi laty tak się rozwinęła, że stał się on jedną z najtańszych jarzyn, dostępnych najuboższej ludności, która by należało uświadomić i nauczyć użycia tej bardzo zdrowej jarzyny, szczególnie przy odżywianiu dzieci, opychanych tylko kartoflami i kluskami.

Nakoniec słów kilka o szparagach, które w tym

roku, po łagodnej zimie i przy wczesnej wiosnie, nadzwyczajnie obrodziły. Jak Rzeczypospolita długa i szeroka, tak wszędzie jadają je tylko w jednej postaci: odgotowane (najczęściej przegotowane) i polane rumianem maselkiem z bułeczką. Conajwyżej jakaś restauracja lub jakiś kuchmistrz na wielkopańskim dworze, zamiast wiecznego maselka zastosuje do nich sos holenderski. Tymczasem szparagi krajane (można tak zużytkować mniej grube i piękne) z białym sosem, z sosem żółtkowym, a nawet i sosem pomidorowym wyborne smakuja. Omlet i jajecznica ze szparagami są wysoko cenione przez amatorów. Szparagi na zimno z sosem majonezowym, lub nawet z oliwą i octem we Francji są codzienną wiosenną potrawą. A dla wyznawców Mazdaznanu można je surowe zestrugać na tarce do buraków, lekko osolić (kto się boi ich goryczki — odrobinę pocukrzyć), polać dobrą oliwą, sokiem z cytryny i podać zamiast salaty, lub jako oddzielne danie, z dodatkiem gotowanych kartofelków.

Pani Elżbieta.



CHŁODNIK

Na cztery do pięciu talerzy chłodnika należy ugotować mały pęczek młodej botwinki, drobno pokrajanej, w szklance, lub nieco więcej, osolonej wody, wystudzić zupełnie. Kto się nie boi octu, może, gotując botwinę, wlać łyżkę tego octu, co da ładniejszy kolor botwinie. Jaknajdrobniej usiekać sporo koperku i utłuc go jeszcze z solą w moździerzu. Kto znosi zapach szczypiorku, niech go doda połowę do koperku. Ugotować cztery jaja na twardo i pokrajać je na ćwiartki lub plasterki. Średniej miary ogórek obrać, przekrajać wzdłuż na cztery części i drobniutko uszatkować. Kawałek pieczeni cielęcej pokrajać w drobną kostkę i oczyścić osiem do dwudziestu szyjek rakowych. Gdy już wszystkie dodatki przygotowane, wziąć trzy ćwierci (do litra) dobrego, zsiadłego mleka i ćwierć litra najlepszej, młodej śmietany. Ubić to trzepaczką na gładką masę, poczem dodać wszystkie części składowe za wyjątkiem jaj, które kłaść wprost na talerze, bo się pokruszą. Dać tak postać godzinę.

Przed samem podaniem włożyć w wagę tyle kawałków sztucznego (chemicznie czystego) lodu, ile osób mamy przy stole. Dodanie kilku łyżek smaku, w którym się gotowały raki, ogromnie podnosi smak chłodnika. Osoby, któreby chciały mieć chłodnik na rosole, powinny gotować botwinę zamiast na wodzie, na rosolu z wołowiny, cielęciny lub kury. Wszelki tłuszcz z rosolu powinien być najstaranniej usunięty. Rosolu bierzemy w takim razie trzy ćwierci, lub cały litr, zsiadłego mleka nie używamy, a podwajamy ilość śmietany, którą należy mocno ubić trzepaczką przed dodaniem do zimnego rosolu. Wszystkie inne dodatki, jak do chłodnika z zsiadłego mleka.

POTRAWKA Z RAKÓW.

Jeżeli używamy szyjki rakowe do chłodnika, nie wolno nam dać się zmarnować reszcie raków, dosyć u nas kosztownych; możemy więc zrobić z nich smaczną a niekosztowną potrawkę rakową. W wigilję tej roboty należy szklanę dobrej kaszki krakowskiej (20 deka) zatrzeć dużym jajkiem i doskonale wysuszyć w letnim piecyku. Na cztery do pięciu osób ugotować w mocno osolonej wodzie z koperkiem i cebulą mendel (15 sztuk)

sporych raków. Oczyścić je, szyjki użyć do chłodnika. Skorupki grzbietowe, wnętrzości (za wyjątkiem pęcherzyka przy głowie i kiszeczki w szyjce) i mięso z łapek przechować, resztę skorupki i nóżki utłuc jaknajdrobniej lub przepuścić przez maszynkę. Masę tę zasmażyć w rondelku z piętnastoma deka masła; podlewać smakiem, w którym się gotowały raki, wypływające na wierzch czerwone masło zbierać do filiżanki.

Zatartą kaszkę ugotować na sypko z łyżką masła, wstawić z garnkiem do pieca, aby się uprężyła. Wnętrzości z raków usiekać, utrzeć z łyżeczką masła, wsypać siekanego koperku, dodać całe jajko surowe i tyle tartej bułeczki, aby masa była niezbyt twarda, dolać jeszcze parę łyżek mleka lub smaku z raków, osolić do smaku, nadziać tem niezbyt pełno skorupki, które ugotować oddzielnie w osolonej wodzie. Nakoniec zasmażyć łyżkę maki z łyżką masła, rozprowadzić zimnym smakiem, w którym się gotowały raki, zagotować, dodać półkwaterek śmietany i na samem podaniu czerwone masło rakowe, z którym sos tylko rozgrzać lecz nie gotować. Jest to konieczny warunek, aby sos miał ładny kolor.

Kaszkę ułożyć w ładną górkę na półmisku, obłożyć wkoło nadziewanemi skorupkami, posypać mięsem z łapek, polać połową sosu, na wierzch jeszcze posypać usiekanym, zielonym koperkiem. Resztę sosu podać w sosjerce. Poza masłem, którego wychodzi dużo, potrawka ta nie jest kosztowna, a wygląda bardzo ładnie i smakuje wybornie.

TORT CZEKOLADOWY.

(na życzenie czytelniczki)

Dziesięć żółtek utrzeć do białości z dwudziestoma pięcioma deka cukru-pudru i utłuczoną z tym cukrem wanilią (pół małej, lub ćwierć dużej laski). Dwadzieścia pięć deka czekolady wstawić do letniego pieca, lub postawić w rondelczku na brzegu blachy. Czekolada w taki sposób zmięknie. Dodać tę czekoladę do utartych z cukrem żółtek i ucierać dalej. Dwadzieścia pięć deka migdałów słodkich zemleć na maszynce (migdały mogą być w lupinkach), dodać do czekoladowej masy. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, ostrożnie, aby piana nie opadła, wymieszać całą masę, przełożyć do tortownicy, wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką. Upiec w średnio gorącym piecu, próbując cienkim patyczkiem: gdy ciasto do patyczka nie przystaje, gotowe. Wyjąć z formy, ostudzić.

Dopiero nazajutrz, gdy się ciasto doskonale uleży, przekrajać je bardzo ostrym nożem na trzy płyty i posmarować następującą masą. Dwadzieścia pięć deka cukru i szklankę wody ugotować na niezbyt gęsty syrop. Dwadzieścia pięć deka migdałów słodkich i kilka gorzkich, sparzonych i oczyszczonych ze skórki, zemleć na maszynce lub doskonale utłuc w moździerzu. Przełożyć do miseczki, zalać gorącym syropem i ucierać wałkiem, aż się zrobi jednolita, gładka masa, wcisnąć sok z całej cytryny i wlać kieliszek aromatycznego likieru: maraskino, abricotiny lub crème de cacao. Masą tą przełożyć dwa razy tort, nacisnąć deseczką i pozostawić tak na sześć godzin, aby ciasto przeszło zapachem migdałów. Chcąc mieć tort bardziej soczysty, można jeszcze polać płyty ciasta likierem, zmieszanym pół na pół z syropem cukrowym. Nakoniec polukrować tort czekoladą, wymieszaną po połowie z cukrem i rozpuszczoną na brzegu blachy z łyżką mleka lub wody.

Pani Elżbieta.

WYTWORNE PANIE!!!

UŻYWAJĄ DLA DYSKRETNÝCH PŁÓKAŃ

DAMOSAN



ESENCJĘ
KOSMETYCZNO-
ANTYSEPTYCZNA

ORYG. WYRÓB FIRMY HENRYK ŻAK, POZNAŃ.

295

KORESPONDENCJE

P. J. Boerner — Kalisz. 1). W pierwszej rubryce „Wy-szczególnienie“ należy zapisywać większe pozycje, które bez tego, chociaż umieszczone w odpowiednich rubrykach, byłyby niezrozumiałe. Naprzykład: suknia aksamitna, albo sześć krze-sel do jadalni, albo trzy wizyty doktora i t. p.

2). Sprzęty domowe i naczynia kuchenne powinny się mieścić w rubryce: „Konserwacja mieszkań i sprzętów“; ro-boty ręczne — w drobnych wydatkach osobistych, tamże woda kolońska, mydło i t. p. Podróże należą do rozrywek kultural-nych.

3). Na wszelkie rachunki bankowe będzie pan musiał wkleić sobie oddzielny arkusik, o ile pan nie zechce całej sumy rozporządzalnej wstawić do rubryki dochodów. Żadna ze zna-nych mi zagranicznych książek rachunkowych tego rodzaju rubryki nie przewiduje.

„Książka Rachunkowa Kobiety Polskiej“ zawiera znacz-nie więcej rubryk, niż odpowiednie wydania niemieckie i szwaj-carskie. Jeśli komu jest ich jeszcze za mało, może sobie połączyć dwie rubryki w jedną, naprzykład: opał, światło i telefon dołą-czyć do komornego i przez to stworzyć sobie miejsce na nową rubrykę, przez siebie wymaganą.

Pani Elżbieta.

SZKOŁA NA WSI

VII kl. koedukacyjna (kurs niższego gimnazjum) prowa-dzona według najnowszych wymagań higieny i pedagogiki Lekcje na świeżem powietrzu w parku; Zagonki, place do gier i zabaw. Egzaminy 12 — 13 — 14 czerwca od 11-ej r. zapisy codzień.

INTERNAT DLA CHŁOPCÓW I DZIEWCZYNEK Połą-czenie autobusami i kolejką wilanowską z Warszawą. Kon-stancin, ul. Mickiewicza, willa Leonówka.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr., rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

W sprawie art. 141 i 142.

Z przyjemnością przeczytałam w „Naszej Mównicy” artykuł p. Zofji Galickiej. Śmiały głos kobiecy! Do argumentów p. G. trudno coś dorzucić; zresztą, najsilniejsze zostały wyczerpane przez Boya. Chodzi jednak o to, ażeby powtarzać je tak długo, dopóki nie dotrą do świadomości i sumienia tych kobiet, które obawiając się drażliwości tej sprawy, wołają prowadzić strusią politykę i nie zabierać głosu, lub, co gorsza, zasłaniać się wygodnym sztandarem „zagrożonej moralności”. I tak nie one są temi, które cierpią. Cierpią najciężej te, które wcale nie wiedzą, że są dziś bohaterkami walki o zmianę ustaw, te, których głosy nie dostają się na łamy prasy, ani nie dochodzą do uszu prawodawców. Cierpią kobiety biedne. Jest to fakt, którego żadna obłuda nie ukryje.

Tylko warjat zadaje sobie umyślnie rany, po to, żeby je później leczyć. Zmuszając kobiety do rodzenia dzieci, bez względu na warunki, postępujemy podobnie. Produkuje się różnego rodzaju cherlaków, gruźlików, epileptyków, alkoholików, najrozmaitszych przestępców i wyrzutków, a później tworzymy dla nich odpowiednie zakłady. Wiele sił, energii, pieniędzy idzie na marne, nie mówiąc już o płynących z tego krzywdach społecznych i indywidualnych.

Przy coraz większej mechanizacji życia, materiał ludzki będzie się mierzyl *jakością*, a nie *ilością*. Nawet „mięso dla armat” jest już dziś anachronizmem. Każde dziecko dziś wie, że następna wojna (o ile ludzkość nie zatrzyma się przed hańbą) będzie gazowa. Ludzi będzie się truło, jak szczury, i żadna ilość wojska na to nie pomoże.

Nie można też zbyt wiele obiecywać sobie po opiece społecznej, której rozbudowa może, według zwolenniczek utrzymania art. 141 i 142, zmniejszyć „piekło kobiet”, bez uciekania się do zniesienia tych artykułów. Opieka społeczna, racjonalnie postawiona, może *ulżyć* niedoli kobiet, zmuszonych do rodzenia, wbrew swoim możliwościom fizycznym i ekonomicznym, często wbrew woli i powołaniu. Ale tylko tyle. Istnienie domów dla matek, żłobków, stacyj opieki nad matką i dzieckiem może natomiast pozwolić pójść za głosem instynktu macierzyńskiego tym kobietom, które dotychczas były tylko jego ofiarami, lub musiały z nim walczyć. Bo tak, jak, według p. Galickiej, po ciąg wzajemny płci istniał i istnieć będzie, tak samo istniał i zawsze istnieć będzie instynkt macierzyński, którego nie zabiją żadne ustawy, choćby najbardziej „wolnomyślne”. Zwolenniczki zachowania karalności przerywania ciąży niepotrzebnie więc obawiają się, że zniesienie tych paragrafów doprowadziłoby do... wyludnienia.

Jednakże nawet najracjonalniej postawiona opieka społeczna nie nadaży rozrodczości mas proletariackich, w których często kobieta przestaje być człowiekiem, a staje się maszyną do rodzenia. Opieka społeczna może co najwyżej zamienić tym kobietom „piekło” na czyszciec. Jedynie możliwość ograniczenia bezmyślnego rozmnażania się powróci kobiecie z tej sfery utracone człowieczeństwo, godność żony i matki, zamiast tego, czem kobieta taka jest dzisiaj: najniższego rzędu niewolnicą.

Ludożercom grozi się karami, chcąc odzwyczaić

ich od zjadania swych bliźnich, ale w świecie cywilizowanym każdemu wolno jeść, co mu się podoba i on sam tylko o tem decyduje. Jeżeli więc każdy człowiek ma prawo rozporządzać swoim żołądkiem, ma chyba również prawo rozporządzać swymi innymi organami i całem swem ciałem. Tylko i jedynie kobieta sama powinna decydować o tem, czy *może* i *chce* urodzić dziecko. Przecież dla niej przede wszystkim będzie to najwyższem szczęściem lub największą klęską. Tak samo wtedy, gdy kobieta pragnie zostać matką, jak i wtedy, kiedy to jest dla niej z jakichkolwiek bądź względów niemożliwe, społeczeństwo powinno udzielić jej pomocy.

O to trzeba walczyć!

Trzeba było mężczyzny, żeby odkrył piekło kobiet; niechaj kobiety przynajmniej nie przeszkadzają tym, którzy (i które) chcą je z tego piekła wyprowadzić.

Marta Bohuńska — Warszawa.

Jeszcze jeden głos.

Pragnęłam nieraz zabrać głos w „Naszej Mównicy”, dobre chęci jednakże spełzały na niczem, dlaczego? Przedewszystkiem praca w biurze, męczący dojazd z Sosnowca i, najważniejsze, własny dom, taki mały, przytulny, ale własny domeczek, w którym jest o kogo się starać. Te wszystkie rzeczy sprawiały, że nawet w niedzielę nie mogłam swego zamiaru wykonać, a miałabym bardzo dużo do pisanja, ot, w takiej sprawie nieślubnych dzieci: nigdy, nigdy nie mogę zgodzić się na poglądy niektórych ślubnych matek, potępiających „nieślubne”. Nie każde nieślubne dziecko musi być zbrodniarzem, wyrzutkiem społeczeństwa. Znam sama nieślubne matki, które wychowywały swe dzieci, może nawet lepiej i więcej bogobojnie, niż niejedna, usankcjonowana przez małżeństwo. Nieraz nieślubna matka znalazła meża dla siebie i dobrego ojca, właśnie dla tego nieślubnego dziecka. Są więc i dobrzy mężczyźni, tak, jak są i złe kobiety. Zdaniem mojem, nie należy chwalić nieślubnego macierzyństwa, ale *nie wolno* potępiać matki nieślubnej, nie wolno, bo tym sposobem zmusza się ją poprostu do skierowania myśli do zbrodni; napewno nie byłoby tylu wypadków podrzuceń, a nawet śmierci nieślubnych dzieci, gdyby społeczeństwo inaczej traktowało matki nieślubne. Jest to właśnie jedna z naszych największych bolączek, do której leczenia społeczeństwo powinno się zabrać niezwłocznie, ale i z zastanowieniem.

Jestem z całem uznaniem dla „Bluszczu”; mąż mój również bardzo chętnie studjuje każdy artykuł, i jestem z tego niezmiernie zadowolona, bo po przeczytaniu artykułu p. Jadwigi Krawczyńskiej, może zastanowi się i nad swoim sumieniem. Tak, niestety, nasi pracujący mężowie, którzy dla nas są gośćmi poprostu, zapominają najczęściej o tem, że „żona” to taki sam człowiek, jak i oni, i że jej także z życia coś się należy; ale o tem... sza, żeby „On” się nie dowiedział, iż się użalam.

Może jeszcze będę miała sposobność podzielić się, z Redakcją „Bluszcza”, swojemi uwagami, spostrzeżeniami i może zasięgnąć jakiej rady. Tymczasem tymgodnik „Bluszcza” polecam swym przyjaciółkom i mam nadzieję, że odnosi to pożądaný skutek.

M. Orł. — Sosnowiec.

Teorja a praktyka (w odpowiedzi p. Zofji Zamiszance).

Jeżeli dyskusja na temat matek nieślubnych nabiera dla Pani charakteru „niepokojącego“, to chyba dlatego, że stała się czysto teoretyczna: uznawać, czy nie uznawać prawa obowiązujące dotychczas; przeciwdziałać, czy iść im na rękę, poetyzując: „Jest cudna noc... księżyc czy gwiazdy, to na jedno wyjdzie...“.

O praktycznym życiowo stosunku do matek nieślubnych wypowiedziała się jedna z pań-korespondentek, niech ja będę drugą. Teoretycznie, na dziesięć korespondentek, siedem wypowiedziało się przeciw teorii Pani, o czym pisze Pani ze zgrozą:

„.... A tymczasem niektóre z kobiet i to kulturalnych wypowiadają się publicznie w ten sposób, jakby sam fakt macierzyństwa bez sankcji prawnej, uważały za hańbiące przestępstwo!“. Uważamy je za grzech. Rzecz zapatrywania, oczywiście. Pani uważa, że to przeżytek, zacofanie, niech i tak będzie. Tylko proszę zastanowić się, czy dobrze robimy, odrzucając prawa moralności?

Dzieciobójstwo chodzi innemi płaszczyznami, temi samemi, co przerywanie ciąży.

Bez praw obowiązujących będziemy stadem zwierząt, ludzi, rzucających się sobie w ramiona, dziś z tym, jutro z tamtym. Zaniepokoiłyby się prochy ś. p. Grossek-Koryckiej, która taką piękną postać wymarzyła dla kobiety przyszłości, jako matki ludów...

Pani uważa, że otoczenie szacunkiem matki nieślubnej jest *jedynym podstawowym* warunkiem uchronienia jej od dzieciobójstwa i prostytucji? Dam przykład z życia własnego, zastrzegając się przed powątpiewaniem w autentyczność, za poważna jestem na to i za stara.

Przyjęłam nową służącą; po pewnym czasie zauważyłam, że jest w ciąży. Rozmówiłam się dla pewności i nie oddaliłam jej. Gdy przyszedł czas rozwiązania, umieściłam ją w domu swej praczki. Dziecko przyszło na świat nieżywe; po wyzdrowieniu, wróciła do mnie. Wyjeżdżając z tamtych stron, nie zabrałam jej ze sobą (trudno wiązać się na całe życie). Postarałam się o służbę w mieście, gdzie miałam znajomych. W jakiś czas dowiedziałam się, że została zarażona chorobą weneryczną.

Drugi przykład: Przyszła z dzieckiem 2 tygodniom ze szpitala, nie mając dachu nad głową, zbita moralnie, jak pies. Dałam kąt u siebie, przysparzałam. Dziecko umieściłam u Dzieciątka Jezus, gdzie wkrótce zmarło. Pogodziłam z matką, która jej znać nie chciała, doprowadziłam do spowiedzi, znalazłam służbę. Po pewnym czasie dowiaduję się, że jest powtórnie w ciąży...

Naco zdał się mój „szacunek“ dla ich macierzyństwa? Są pewne kategorie kobiet, beznadziejne pod tym względem, co jednak nie wyklucza obowiązku zajęcia się niemi.

Teorja a praktyka, to dwie różne rzeczy. To są kobiety z ludu. Kobieta z inteligencji, jeżeli zdobędzie się na dziecko (znam osobiście pannę, która ma dwóch synów i znów rodzina nielegalna), samo urodzenie i wychowanie jest już dla niej ekspiacją i powtarzam, że w moich oczach wyżej ją postawię od kobiet, zabijających życie, już poczęte w swoim łonie. Żadne filozofowanie tu nie pomoże: jest to zabójstwo i koniec.

Praktyczne i właśnie *jedyne i podstawowe* rozwiązanie niedoli matek i dzieci nieślubnych, daje nam w swej działalności pani Gawrońska (którą miałam przyjemność poznać), inicjatorka i prezeska Tow.

„Ratujmy niemowlęta“. Obszerne sprawozdanie tegoż daje nam w Nr-ze 43-tym ub. r. pani Miszewska w artykule: „Pokutujące Magdaleny“, który to artykuł zapoczątkował naszą dyskusję.

Więcej takich „domów zarobkowych“, więcej ferm 8—10 morgowych dla tych matek nieślubnych, które kochają i nie chcą się rozstać ze swojemi dziećmi i więcej rąk do pracy, o które ciągle p. Gawrońska woła, a mniej poetyzowania.

Dla pani „Jednej z wielu“ serdeczne podziękowanie tą drogą za list.

Semeryna Dzieciolowska z Wejherowa.

Rozmowa nie z panem mężem, lecz myśli o duecie małżeńskim (w odpowiedzi na artykuł p. J. Krawczyńskiej).

Z zainteresowaniem przeglądam każdy numer „Bluszczu“, tygodnika drugiej połowy rodzaju ludzkiego — pań.

Nie jeden już artykuł nasuwał mi myśl zabrania głosu, wygadania się, postawienia sprawy à la Kolomb, uderzeniem podstawą chwiejną przedmiotu o równię życia. Bowiem prosta logika, myślenie ścisłe, ułatwiają wszelkie odpowiedzi. Nie o międzyplanetarne przestrzenie i inne wielkie a wątpliwe tematy tu chodzi (a i te matematyka logiczna wylicza), debatuje się o współżyciu pospolitem, odwiecznym, *jednakomem* w duecie małżeńskim.

Najtęższe głowy filozoficzne, prorocze dusze poetów, najsilniejsze mózgi socjologów i fizjologów bieżącej epoki nie wniosły do tej sprawy nic nowego po dzień dzisiejszy.

Po artykule p. J. K. w „Bluszczu“: „Rozmowy z panem mężem“, odruchowo ująłem za pióro. Niech i moje myśli oświecą tych, którzy sygnałami S. O. S. alarmują, że na drodze życiowej są w niepewności i szukają ratunku. Należy wyjaśnić im, że niebezpieczeństwa, wistocie, niema, skoro tylko ożagłowanie, kompas i tonaż ułożone będą zgodnie z prawami nawigacji, skoro funkcja odpowiadać będzie swej zmiennej niezależnej, wtedy wiry i rafy zerem się staną.

Logika praw natury jest prosta i żelazna. Prawo zachowania gatunku kruszy i unicestwia twory, wchodzące w kolizję z jego założeniem.

W odwiecznej walce o byt gatunków, duet małżeński *musi* zawsze tworzyć sztyk bojowy, on decyduje o zwycięstwie lub klęsce. Rośliny, zwierzęta i ludzie walczą w tem współdziałaniu podobnie, tylko... rozumny człowiek postępuje okrutniej. Zatem sztyk bojowy duetu ludzkiego winien być warowniejszy.

Czy kwestja równouprawnienia kobiet jest istotnie nowością naszych czasów? — Nic podobnego. Prawo zachowania gatunku, jego doboru, to gracz wytrawny. Zmienia on jedynie kombinacje tych samych kart w historii wieków. Walory dawno poznane, oszacowane, przeszacowane i zapomniane, wzajemny układ sił uzupełniających się w walce o byt wydają się nam wartościami nieznanymi, dla których szukamy nowych dróg. Poświęca się im, jakby na prawdę pierwiastkom nowo odkrytym, specjalne studia. A w wyniku czem się kończyć muszą te drogi? — Początkiem!

Bawi nas spektroskop swym tysiącem barw płci i charakterów, tworzymy zagadki, staramy się natomiast nie widzieć prostej genezy życiowej.

Jakże powierzchowne jest traktowanie przedmiotu ogólnikami: pan mąż, despota, tyran, niewola, brak równouprawnienia, sztyc guzików, cerowanie i t. d., i t. d.

Rozpatrzmy przykłady bezpośrednie, najbliższe, np. rolnika, kupca, kierownika urzędu czy banku, lub zwykłego urzędnika z ich tysiącem kłopotów, trosk i zależności, wolne zawody z ich nerwową, ścisłą pracą, wojskowych, urabiających kadry wśród tysiąca przepisów i rozkazów, robotnika fabrycznego, czy bezrolnego, w fizycznym pocie czoła bezpańsko z dnia na dzień borykających się bez pewnego jutra, czy wszyscy ci swemi trudami nie dają dowodów, że egzystują jedynie i wyłącznie dla rodziny, kraju, dla przyszłości? Ci panowie mężowie, ojcowie, *tyrani* w 40-tym roku są inwalidami, a w 45 wymierają przeciętnie, jak dowodzą statystyki przemysłu i miast. Idą oni w szyku bojowym w pierwszym szeregu, zwyciężają przeciwności, na ataki odpowiadają kontratakami, by tylko zdobyć lepsze pozycje.

W drugim szeregu idzie kobieta, żona-matka. Porządkuje ona zdobycze męża, eksploatuje je, tworzy nowe siły pomocy, dla walczącego frontu. Są tu równe prawa w tym pochodzie i bez chępliwej, pozornej supremacji możliwe jest tu owocne współdziałanie.

Każdy twór w przestrzeni wszechświata ma styczną powierzchnię zewnętrzną i jaźń wewnętrzną, odnosi się to i do rodziny. Mąż strzeże jej zewnętrznie, zapewniając dochody, żona zachowuje stan posiadania. Niema zakazu ujmowania całokształtu pracy, walki o byt, przez obu partnerów; warunkiem musi być jednak podział prac, podług właściwości fizycznych.

Przypuśćmy, że porządek szyku bojowego odwrócimy: tyły, tabory pójdą naprzód, wtedy najslabszy atak przeciwnika rozbija taki szyk, jak bańkę mydlaną.

Czem jest żona, narzekająca na złe samopoczucie, niezrozumienie, pustkę duchową, przy absolutnem niedocenianiu „tyrana” męża? Bądźmy łagodni, jest plewą, szkodnikiem, wrogiem ładu; właśnie ona zadecyduje o klęsce. To jest owo małe dłubanie paluszkami w szklanym kloszu, to jest anarchja, przynosząca zagładę organizmowi rodziny.

Eliza Orzeszkowa orzekła: „Szczęście kobiety, jej obowiązek, cnota, dostojność, to miłość i macierzyństwo”.

Jak przepięknym wzorem żony-matki jest anielka, Jessie Conrad, żona sławnego naszego Józefa Conrada (Korzeniowskiego). Tworzył on w bardzo trudnych warunkach, ale tworzył dlatego, że miał przy boku swym tak dzielną partnerkę.

Zatem, szanowne Rodaczki, po wojnie światowej odrodzoną Ojczyznę czeka okres pracy. W czynie tym Waszej inicjatywy, napewno, też nie zbraknie. Przez doskonałość we własnych kółkach rodzinnych, twórcie doskonałość Ojczyzny. Prawa mamy równe, chodzi tylko o to, by ich nie łamać.

A. J. K. — Pomorze.

Nie powodujmy się tylko litością (w odpowiedzi pani J. Ł.—„Kobiety nie są litościwe”).

Sprawa służby domowej jest dla nas, kobiet, sprawą ważną; ale jeżeli popatrzymy na nią z punktu widzenia pani J. Ł. z Król. Huty, t. j. pozwolimy służącej bawić się, perfumować i ubierać modnie, to nie będzie to litość, ani dobre traktowanie, ale raczej popychanie do złego i rozbudzanie marnotrawstwa, które zbyt często daje się u naszych sług zauważyć. Czy służąca, zarabiająca 50 zł. miesięcznie, może sobie kupować perfumy i modnie się ubierać?

Jeżeli ją do tego przyzwyczajamy, to z chwilą, kiedy na takie wydatki zabraknie jej pieniędzy, zażąda od nas większej pensji, a wtedy nie da sobie

wytłumaczyć, że jej na rzeczy zbyt wiele nie stać, wobec czego same będziemy musiały podolać pracy ponad siły, bo zdemoralizowana przez nas służąca będzie dla wielu niedostępnym luksusem.

Mamy pozwolić na przychodzenie narzeczonego, więc starajmy się wydać ją za mąż, ale przedtem przygotujmy do obowiązków, które ją czekają we własnym domu. Nauczmy służące porządku, obowiązkowości, nauczmy kochać dzieci, których przeważnie unika; brońmy ją przed wyzyskiem mężczyzny-narzeczonego, ale w żadnym wypadku nie popychajmy do złego, nie pomagajmy w roztrwaniu zapracowanych pieniędzy, bo to nie będzie litość: to będzie zło, które się nigdy nie da wykorzenić, to będzie coraz większy upadek moralny, który z każdym dniem zwiększa się wśród służby domowej. Bądźmy litościwe dla naszej służącej, kiedy jest chora i zmęczona, wtedy damy jej odczuć, że jest człowiekiem, o którego dbamy. Nie samą jednak litością powodujmy się w tych sprawach, a także sercem i rozumem.

Nie uważam również za konieczne opiekować się służącą, która ma zostać matką. Dziś, kiedy jesteśmy prawie od dziecka uświadamiane, czyż nie wiemy, co nas czeka z chwilą, kiedy dziecko nasze nie będzie miało ojca? Czy nie za dużo czasu poświęcamy nieślubnemu dziecku i jego matce, kiedy tyle kalek i sierot zostało nam po wojnie? Dając dzieciom nieślubnym opiekę, tem samem popychamy ich matki do dalszego „zapominania się”. Uświadamiajmy je, brońmy, ale nie otaczajmy opieką złą, które się coraz bardziej szerzy.

I. Ś. z Warszawy.

Rozwińmy program ankiety gospodarczej

II

(chleb i produkty spożywcze).

W poprzednich moich uwagach postawiłam na pierwszym miejscu *chleb*, dosłownie i symbolicznie, t. zn. żywność wogóle. Poprzednie moje uwagi, z punktu widzenia higieny, odnoszą się właśnie głównie do chleba. Teraz przejdę do innych.

Nie wszędzie w Polsce jemy chleb dobry (poruszyła tę sprawę już jedna z pań w swojej odpowiedzi na ankietę). Nie wszędzie też jest dobre białe pieczywo. Dlaczego? Z jednej strony przyczyna leży w nieumiejętności wypieku, z drugiej i w naszej bierności, która godzi się z istniejącym stanem rzeczy, nie stawiając swoich wymagań. W sprawie wypieku chleba i białego pieczywa istnieją ustawowe przepisy; także cena chleba i bułek zwykłych jest ustawowo ustalona, a jednak, jaka jest pod względem jakości i wyglądu chleba różnaitość!

Nie idzie też o to, aby wszędzie w Polsce wprowadzić jakiś jeden typ pieczywa, ale mamy prawo wymagać, aby to, co się nazywa zwykłym chlebem żytnim, czy bułką na wodzie, było wszędzie możliwe do jedzenia i możliwie zbliżone do jakiegoś zasadniczego, dobrego, czy najlepszego typu. Przy normalnem pieczywie jest jeszcze cała skala możliwości.

W Poznaniu, obok chleba i białego pieczywa normalnego (które, nawiasem mówiąc, jest doskonałe, co nietylko my, poznańscy, przyznajemy, a co można by tłumaczyć naszem przyzwyczajeniem, ale w czasie Wystawy słyszałam od przyjezdnych z całej Polski: „Ach, jakież macie pyszne pieczywo!”), dostaje się również chlebki razowe, żytnie i pszenne, oraz różne rodzaje pieczywa luksusowego: babki, placki, „alberty” i ciasta cukiernicze. Wszystko to kupuje się w specjalnych składach pieczywa, znajdujących się wszędzie, co kilkadziesiąt kroków, na każdej ulicy (świeże pieczywo dostarczane jest dwa albo trzy razy dziennie).

Przyznam się, że, gdy z Poznania wyjeżdżam do Warszawy, albo do Lwowa, brak mi tam bardzo poznańskich piekarni-cukierni. W Warszawie np., mieszkając w okolicy Placu Zbawiciela, nie mogłam kupić dobrego pieczywa.

Kupiłam raz bułki w wędliniarni, innym razem trafiłam już do właściwego sklepu, w którym o 3-ej popołudniu nie było ani jednej świeżej bułki! Za to jadłam raz w Warszawie doskonały chleb żytni razowy, zdaje mi się, pod nazwą „litewski”.

We Lwowie znowu sprzedają chleba i bułek odbywa się w kioskach otwartych, na ulicach; jest to bardzo przykre.

Może moje zawody w Warszawie wypływały z mej niedostatecznej orientacji w mieście, może... jednak uważam, że byłoby wielce pożądane, aby w naszych miastach, od Warszawy począwszy, powstawały piekarnie-cukiernie na wzór poznańskich.

Obok chlebów razowych zwykłych jest jeszcze w handlu t. zw. pumpernikiel, sprzedawany w opakowaniu; obawiam się, że jest on przeważnie pochodzenia zagranicznego. W Poznaniu słyszałam, że była wytwórnia takiego „pumpernika” w Lesznie; ale upadła. Podobno jest w Bydgoszczy, lecz zdaje mi się, że ten, który mamy w handlu, nie pochodzi jedynie z naszych źródeł; gdyby tak było, wyglądałoby na okropną ironję, aby u nas w Polsce, w kraju żyta i wszelkiego zboża, trzeba było sprowadzać obcy pumpernikiel, a może czasami i obce *cakes'y*.

W związku z tem trzeba by znaleźć drogę do organizacji piekarzy i stawiać żądania: co do jakości chleba i wogóle pieczywa, co do organizacji sprzedaży chleba, co do wypieku pumpernika i innego luksusowego pieczywa.

W związku z chlebem, ale już w znaczeniu żywności ogólnie, uważałabym za bardzo potrzebne większe rozwinięcie jednej gałęzi handlowej gospodarstwa wiejskiego. Mam mianowicie na myśli zaopatrywanie naszych śpiżarni na zimę.

Zapewne, w tej dziedzinie istnieje wielka rozpiętość skali, tak co do wymagań jak potrzeby i możliwości, zależnie od miejsca zamieszkania, środków finansowych i t. d. Ale przecież są pewne normy i czy w dużym, czy mniejszym domu, pewne zapasy są konieczne.

Otóż, czy nie dałoby się w porozumieniu z Towarzystwami Ziemianek i Włościanek zorganizować przemyślanej kompletnej dostawy zimowych zapasów śpiżarnianych. W nowoczesnych warunkach, przy pracy zawodowej kobiet, ileż razy można przeoczyć tę właściwą do kupna zapasów chwilę.

Widziałam w małym miasteczku, jak nauczycielki zamężne, prowadzące gospodarstwa domowe, wybiegały pośpiesznie po lekcjach z obawą, czy jeszcze co na targu dostaną, „bo to dziś właśnie zwieźli kapustę”.

Gdyby istniały źródła, do których z zaufaniem możnaby skierować swoje zapotrzebowania, uniknęłoby się i „nerwów” i tych pośpiesznie, dorywczo, kupowanych zapasów: dziś ziemniaki, jutro kapusta, a w następnym tygodniu cebula, czy marchew. Przy zorganizowanych dostawach, możnaby zapewnić sobie większą rozmaitość jarzyn, a nawet rozszerzyć to zapotrzebowanie zimowe na konserwy grzybów, owoców, na kompoty i konfitury, bo niezawsze w domu we własnym zarządzie (osobliwie przy innej pracy zawodowej pani domu) wypadnie to taniej!

Wielkiem ułatwieniem życiowym byłoby również, gdyby w miastach można było korzystać z ure-

gulowanej, codziennej dostawy do domu choćby mleka i pieczywa.

W miastach amerykańskich, gdzie w mieszkaniach są już w tym celu przewidziane odpowiednie urządzenia, tak, że można z zewnątrz otworzyć drzwiczki lodowni, lub innej skrytki, dostawa obejmuje wszystkie artykuły spożywcze. My, w naszych warunkach, choćby ze względu na brak takich urządzeń mieszkaniowych, nie możemy jeszcze o tem wszystkim marzyć. Ale może przecież już teraz dałoby się coś w tym kierunku zainicjować, albo rozszerzyć. Głównie chodzi o ranną dostawę mleka i pieczywa, co byłoby wielkiem udogodnieniem dla domów bez służącej, a domów takich jest coraz więcej.

A. W. — Poznań.

Gdzie wyjedziemy?

Zbliża się lato, a z niem myśl o wyjeździe z dusznych miast, staje też przed nami pytanie: dokąd? w które strony?

Pozwólcie Panie, a dobrze poradzę. Zostańmy w kraju, niech tani paszport nie zmieni nas w stado lotnego ptactwa, co rzuca swoje urocze kąty, a bieży w obce strony. Zostańmy, pozostawmy grosz w kraju, nie bądźmy sezonowymi emigrantami, którzy poznać chcą cudze, a jeszcze swego nie znają...

Roi się u nas od miejscowości, gdzie rodziny z dziećmi mogą wyjechać i tanio, wygodnie, zdrowo przeżyć 2 miesiące wakacyj. Znam taką uroczą wieś we wschodnich Karpatach i powiem Wam o niej.

Jest to wieś Mizuń Nowy, poczta Wygoda, powiat Dolina, wojew. Stanisławowskie. Ze Lwowa w 4 godziny dojeżdża się do stacji Wygoda, gdzie są duże tartaki, sklepy wszelkiego rodzaju, poczta, szpital Kasy Chorych, a stamtąd autem lub dorożką 6 klm. drogi do Mizunia Nowego.

Śliczna to wieś, w dolinie rwącej górskiej rzeki Mizunki. Domy czyste, obszerne, umeblowane wygodnie. Jest to kolonia niemiecka, założona przez Marję Teresę, dziś ludność prawie spolszczona.

Apropozycja wyborna i tania. Sklepek na miejscu, mleka, masła, sera, jajek dużo, a codziennie dowożą mięso i pieczywo oraz jarzyny.

Koszt wynajęcia domku (2 pokoje i kuchnia) na 2 miesiące dochodzi do 300 zł. z opałem. Okolica śliczna, spowita w lasy, które gęstym płaszczem pokrywają Karpaty. Olbrzymi zbiór poziomek, malin, grzybów, są nadto raki i ryb pod dostatkiem. Swoboda idealna, bo letnicy cały dzień spędzają nad rzeką, albo w lesie, który jest tuż, pod oknami domów. Turyści mają śliczne, górskie wycieczki na Łysą, Lutą, Jajko, Ihroryszcze, Szczawną.

Czyż nie można zabrać ze sobą nieco naczyń kuchennych, spakować pościel i za tanie pieniądze mieć raj na ziemi, być w cudnym, naszym Meranie, czy Botzen?

Toalet nie trzeba żadnych, konieczne są tylko mocne trzewiki na górskie drogi. Informację udzielić może jeden z tamtejszych gospodarzy, a przyznać należy, że koloniści stanowią żywioł inteligentny i bardzo uczciwy.

Do Mizunia przyjeżdża dużo inteligencji chrześcijańskiej ze Lwowa i Warszawy, t. zw. stali goście. Mieszkania zamawiać należy jaknajwcześniej.

I. Siemianowska.